Lwów, Niedziela dnia 13. Kwietnia 1879 r.

TYDZIEŃ POLSKI.

Nr. 11.

PRENUMERATA we LWOWIE
Rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 17 złr. 60 cnt. półrocznie 8 złr. 80 cnt. kwartalnie 4 złr. 40 cnt.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA:
KSIĘGARNIA POLSKA.
L. 14 plac halicki.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni J. K. Żupańskiego w POZNANIU. PRENUMERATA w POZNANIU: Kwartalnie 7 m. z przesyłką 8 m. 50 f.
We Francji, Anglji, Ameryce itd. kwartalnie 10 franków.
W Krakowie skład główny w Księgarni S. A. Krzyżanowskiego.

BAS-BLEUS.

Jednem z pytań, które już tysiące dowcipów wywołały i wywoływać będą jest, czy plamy atramentu mogą być w jakikolwiek sposób uważane jako ozdoba paluszków niewieścich? Jestto jednak owo z pytań, na które dzisiejsi filozofowie zwykli odpowiadać i „tak“ i „nie“. Zawiera ono jednak więcej treści, niżby się na pierwszy rzut oka zdawać mogło a rozwiązuje się bardzo prosto: kobiety mogą czytać i pisać nie zaniedbując wcale łatwego obowiązku umywania rączek. Nikt na świecie już nie wymaga, aby człowiek nauki chodził po ulicy ze znamionami swego powołania. A tu się wyrobiło ogólne przekonanie, że uczone panie za mało dbają o ubiór swój i wyglądanie. Świat widzi obecnie w kobietach dwie alternatywy. Jeśli poszła za naturalnemi swemi popędami, jeśli zawsze w mówieniu była sobą, jeśli cały jej widnokrąg myśli i kłopotów ograniczał się na strojach, wielbicielach, rywalach, rodzinie, śmiano się z niej jako z pustej i bezdusznej. A gdy się zwróciła ku wiedzy, obsypano ją epitetami, należnemi do dykcjonarza najpowszechniejszego, jak *bas-bleu*, pedantka, i tp. Obrońcy płci pięknej i uczonej przypisują to ostatnie zazdrości męzkiej. Przeciwnicy twierdzą, że kobieta inne ma zadanie do spełnienia, i że praca naukowa musi z niej zrobić dziwoląga.

Kobiety rzadko bardzo, w nadzwyczajnych tylko wypadkach, od dzieciństwa przygotowują się do obrania czysto naukowego lub literackiego zawodu. Póki jest dziewczęciem, kształcą ją w sposób najpowierzchowniejszy. Nic się nie zostawia ich samodzielności, lecz od powicia muszą kroczyć chińskim obyczajem w ślady utarte przez bony i guwernantki. Francuska gramatyka, fortepian, trochę historji i geografji zasadzającej się na wyliczaniu faktów i anegdotek, nie pobudzają wcale do wywołania samodzielnego sposobu myślenia. Kobieta przechodzi przez dziewczęce lata i przychodzi kolej zabaw, tańców, miłości, zanim jeszcze zdołała odkryć, iż także posiada duszę. Nareszcie, nieco wprawdzie późno, przejawia się potrzeba wiedzy. Lecz żeby ją osiągnąć, trzeba staczać walkę z rodziną, z ojcem, matką, bratem, siostrami i całym szwadronem kuzynek starszego wieku. Po wielu gadaniach, plotkach, docinkach i ta przeszkoda zostaje usunięta. Panna Matylda, czując że już mało czasu zostaje, pracuje z desperacką energją i cała oddaje się nauce. Tymczasem dawnym przyjaciółkom staje się najnieznośniejszą istotą pod słońcem. Przekonywują się, że panna Matylda nie interesuje się wcale rozmową o posagach sąsiadek oraz o ich kapeluszach i czepeczkach. Lecz biedna Matylda, i u płci brzydkiej nie znajduje uznania. Lecz nie dla tego, że są oni zazdrośni, i sami pragną panować na polu wiedzy, lecz, poprostu dla tego, że, gdy się spotkają z kobietą, chcą na chwilkę zapomnieć o swych zwykłych zajęciach. Każdy z nich ma swe własne kłopoty umysłowe, jeden zajmuje się historją, drugi bada klinowe napisy, trzeci studjuje wymoczki, inny pisze powieści, i „umysłowa hygjena“ żąda od nich, żeby czasami o tem zapominali. Lecz zapomnieć o tem w towarzystwie uczonej kobiety jest największą dla niej impertynencją. To znaczy uważać ją za nie dość wykształconą do rozmowy o tak poważnych przedmiotach.

Tymczasem wiadomości nabierają się powoli, przy pomocy gorączkowej pracy. Nabiera się pewien kapitał umysłowy, z którego trzeba coś wydawać, przynajmniej odsetki. A tu dla kobiety nie masz jeszcze prawie żadnego pola do popisu. Literacka praca opłaca się jeszcze jako tako, chociaż daleko mniej niż u mężczyzn, a naukowa w obecnych stosunkach nie jest prawie zupełnie cenioną, z bardzo chyba nielicznemi wyjątkami. Jako reakcja, objawia się chęć popisywania z wiedzą, chociażby tylko w kółku towarzyskiem. Zapał to zupełnie naturalny i daje się wytłumaczyć. Żeby go zaspokoić, wynalazły panie poświęcające się nauce klapę bezpieczeństwa dozwalającą nagromadzonemu kapitałowi wychodzić na zewnątrz. Najbardziej to jest uderzającem na Zachodzie, gdzie kobiety dopuszczone są do wyższych studjów. Owe klapy to są egzamina. Jest to fakt przez wszystkich skonstatowany, że nikt nie ma takiego amatorstwa do zdawania egzaminów, jak kobiety, które się z prawdziwą gorączką do nich rzucają. Dyplomy przychodzą jedne po drugich, nareszcie, gdy wszystko skończone, nie ma dla kobiety drogi wejścia do życia. Już w czasie samych studjów zaczyna to odczuwać i gnębi ją to aż do ostatka. Tą drogą wytwarzają się powoli dziwolągi, nie mające nigdy na ustach nic kobiecego i narzucające się swemi wiadomościami. Przecież każdy uważa to za wyzwanie, gdy na wieczorku tańczącym zostanie przez tancerkę zapytany o stosunku pomiędzy czasem a przestrzenią, albo gdy go traktują pomiędzy zupą a rybą, rozprawą o przekonaniach Comte'a co do charakterystyki kościołów katedralnych, pozytywistycznych. Na przejażdżce, towarzysza młodej osoby, bardzo mało obchodzi jej improwizowana dyssertacja o kamiennej epoce w Egipcie. A jednak panie uczone mają szczególną pasję do wprowadzania kwestji tego rodzaju na stół, i to właśnie w chwili gdy się tego najmniej po nich spodziewa. Trudno wtedy nie odpowiadać, a jeszcze trudniej prowadzić rozmowę na serjo w takich okolicznościach. Nie każdy jest tak śmiałym żeby w podobnej okoliczności znalazł się jak ów młodzieniec, który w czasie rozmowy z kobietami o ideach, twierdził iż „idea“ w języku rosyjskim jest żeńskim rodzajem „idjoty.“ Nie każdy zdobędzie się na powiedzenie w chwili zapytania przy obiedzie, o zdanie co do jakiegoś dzieła, że jest to „mała różowa książeczka.“

Te niesmaczne strony emancypacji kobiecej, są koniecznemi wynikami przejściowego stanu. Nikt obecnie nie śmie twierdzić, jakoby praca naukowa nie należała do zakresu działalności kobiecej, lecz wszyscy odczuwają wybryki chwili przejściowej. Musimy czekać, aż się te sprawy wyrównają, aż kobieta w studjach swoich zbliży się do studjów męzkich w bardzo młodych

latach, od samego początku, gdy wiedza będzie stopniowo przyswojoną, nie zaś zdobytą raptownym wysiłkiem i stającą się odrazu wyłącznym celem życia. Kobieta obecnej chwili porwaną jest gwałtownym przewrotem pojęć, który się na świecie odgrywa, i ona też odczuwać musi konsekwencje takiego położenia. Idzie więc gorączkowo naprzód, a doświadczenie przecież uczy, że wiedza ma być koniecznie powoli assymilowaną, nie zaś gwałtownie pożeraną. A będzie to osiągniętem, kiedy nikt nie będzie tamował kobietom drogi do wyższego wykształcenia. Gdy z drzewa wiedzy jabłko z łatwością będzie mogło być uszczkniętem, nowe Ewy nie będą go zrywały nie w porę i niedojrzałe. Gdy wyższe studja staną się powszechniejszemi i wreszcie otworzą wrota do karjery, panie wezmą się chłodniej i spokojniej do rzeczy a ogólna irrytacja, jako zbyteczna, zostanie usuniętą.

W każdym razie będą tam jeszcze trudności nieposledniego rzędu do usunięcia. Kobiety pracujące naukowo z trudnością znajdą tyle pobocznych zajęć uprzyjemniających życie i przynoszących zdrowie, co studenci. Trudno im będzie zaprowadzić równowagę między życiem umysłowem a fizycznem. Swobodne i pełne przygód życie studenta utrzymuje jego umysł świeżym i otwartym. Lecz trudności ztąd wynikające są drugorzędne. Znajdzie się w praktyce i na to środek. Tymczasem do kobiet chcących się wynieść z dotychczasowego upośledzonego stanu, wołajmy: Razem i naprzód.

HANIA.

Powieść

LITWOSA.

X.

(Ciąg dalszy.)

Otworzył mi sam, i cofnął się z przestrachem.

— Farsa! — rzekł — jak ty wyglądasz, Henryku?

— Piorun zabił mi konia pod samą Ustrzycą. Nie miałem innej rady, jak przyjść tu.

— W imię Ojca i Syna!... Aleś ty przemokł, zziąbł. Ależ to już późno. Farsa! Każę ci dać coś zjeść i ubranie.

— Nie! nie! ja chcę zaraz wracać.

— Ale, dlaczego to Hania nie przyjechała? Moja żona jutro o drugiej wyjeżdża. Myśleliśmy, że ją przyszlecie na noc.

Postanowiłem nagle powiedzieć mu wszystko, bo potrzebowałem jego pomocy.

— Panie! — rzekłem — stało się u nas nieszczęście. Liczę na to, że pan nie wspomnisz nic nikomu, ani żonie swej, ani córce, ani guwernantkom. Chodzi tu o honor naszego domu.

Wiedziałem, że nikomu nie powie — a zresztą mało miałem nadziei, żeby sprawa się ukryła, dla tego wolałem go uprzedzić, aby w danym wypadku mógł rzecz tłómaczyć. Opowiedziałem więc mu wszystko, wyjąwszy tego, że sam kochałem się w Hani.

— A to ty musisz się bić z Selimem? Farsa! co?—rzekł wysłuchawszy mnie do końca.

— Tak jest. Chcę się bić zaraz jutro. Ale dziś jeszcze chcę ścigać ich dalej, i dlatego proszę byś mi pan dał natychmiast najlepsze konie.

— Ścigać ich nie masz potrzeby. Nie pojechali nigdzie daleko. Jeździli, jeździli, po różnych drogach i wrócili do Chorzel. Gdzieżby uciekli? Farsa! Wrócili do Chorzel: padli do nóg staremu Mirzie! Nie mieli innej rady. Stary Mirza zamknął Selima w śpichrzu, a pannę... odwiezie do was. Farsa — co? Ale Hania! Hania! no!

— Panie Ustrzycki!

— No! no! moje dziecko nie gniewaj się! Ja jej tego za złe nie biorę. Kobiety moje, to co innego. Ale po co czas tracić!

— O tak, czasu nie traćmy.

Ustrzycki zastanowił się przez chwilę.

— Wiem już jak zrobić. Ja natychmiast pojadę do Chorzel, a ty jedź do domu, a najlepiej czekaj tu. Jeżeli Hania jest w Chorzelach, to ją zabiorę i odwiozę do was. Może mi jej nie oddadzą? Farsa! Ale wolę być razem ze starym Mirzą, gdy ją odwieziemy, bo twój ojciec gwałtowny człowiek. Gotów wyzwać starego, a stary nic nie winien. Co?

— Ojca nie ma w domu.

— To lepiej! to lepiej!

Tu pan Ustrzycki zaklaskał w ręce.

— Janek! sam tu!

Wszedł pokojowiec.

— Konie mi z bryczką za dziesięć minut. Rozumiesz?

— A dla mnie konie? — rzekłem.

— Drugie dla pana! Farsa! panie dobrodzieju!

Milczeliśmy przez czas jakiś. Po chwili rzekłem:

— Czy pan pozwoli, żebym napisał do Selima? Wolę go wyzwać listownie.

— Dla czego?

— Obawiam się, że stary Mirza nie pozwoli mu bić się. Wsadzi go do kozy na czas jakiś, i będzie uważał, że to dosyć. A dla mnie to mało! mało! Jeżeli Selim już siedzi w kozie, pan go nie zobaczy; przez starego robić tego nie można, list zaś można komuś zostawić. Ja ojcu także nic nie powiem, że się chcę bić. Może sam starego wyzwie, a stary nie winien. Ale jak my poprzednio wybijemy się z Selimem, to już nie będzie racji. A wszakże sam pan powiedział, że ja muszę się z nim bić?

— Jabym to tak uważał. Bić się, bić się! Dla szlachcica to tam zawsze najlepszy środek — a czy stary, czy młody to wszystko jedno! Komu innemu: farsa! ale nie szlachcicowi. No, pisz; masz słuszność!

Siadłem i napisałem co następuje:

„Jesteś nikczemnik. Listem tym daję ci w twarz. Jeżeli nie stawisz się jutro koło Wachowej chaty z pistoletami lub pałaszem, będziesz ostatnim tchórzem, którym prawdopodobnie jesteś.“

Zapieczętowałem list i oddałem panu Ustrzyckiemu. Poczem obaj wyszliśmy na podwórze, bryczki bowiem dla nas już zajechały. Przed samem wsiadaniem przyszła mi jedna przerażająca myśl do głowy.

— Panie! — rzekłem do Ustrzyckiego. — A jeżeli Selim nie do Chorzel zawiózł Hanię?

— Jeżeli nie do Chorzel — tedy zyskał czas; jest noc, pięćdziesiąt dróg na wszystkie strony, i... szukaj wiatru w polu. Ale gdzieżby ją zawiózł?

— Do miasta N.

— Szesnaście mil, jednemi końmi. Tedy bądź spokojny. Farsa — co? Tedy jutro pojadę do N. dziś nawet jeszcze, ale pierwej do Chorzel; powtarzam ci, bądź spokojny!

W godzinę potem byłem już w domu. Noc była późna, bardzo późna nawet, ale w oknach wszędzie migały światła. Snadź ludzie biegali ze światłem po różnych pokojach. Gdy bryczka moja zadudniła przed gankiem, skrzypnęły drzwi i do sieni wyszedł ksiądz Ludwik ze świecą w ręku.

— Cicho! — szepnął do mnie kładąc palec na ustach.

— Hania? — spytałem gorączkowo.

— Ciszej mów. Hania już jest. Odwiózł ją stary Mirza. Chodź do mnie — opowiem ci wszystko.

Weszliśmy do pokoju księdza.

— Co się z tobą działo?

— Goniłem ich. Mirza zastrzelił mi konia. Czy ojciec jest?

— Wrócił zaraz po wyjeździe starego Mirzy. O nieszczęście! nieszczęście! Teraz jest przy nim doktor. Myśleliśmy, że dostanie apopleksji. Chciał zaraz jechać wyzwać starego Mirzę. Nie chodź do ojca, bo mogłoby mu to zaszkodzić. Jutro zaś proś go, żeby nie wyzywał Mirzy. Grzech to ciężki, a przytem stary nie winien. Selima wybił i zamknął go, Hanię zaś odwiózł sam. Ludziom nakazał milczenie. Szczęście jeszcze, że ojca nie zastał.

Pokazało się, że stary Ustrzycki przewidział wszystko doskonale.

— Jak się Hania ma?

— Przemokła do nitki. Ma gorączkę. Ojciec okropnie ją zlajał. Biedne dziecko!

— Czy doktor Staś widział ją?

— Widział i kazał się jej zaraz położyć. Stara Węgrowska siedzi przy niej. Zaczekaj tu na mnie. Pójdę do ojca, powiem mu, żeś przyjechał. Rozesłał już za tobą konie na wszystkie strony. Kazia także nie ma, bo pojechał cię szukać. Boże! Boże wszechmogący! co się tu działo!

Tak mówiąc, ksiądz wyszedł do ojca, ja zaś nie mogłem wysiedzieć w jego pokoju i pobiegłem do Hani. Nie chciałem jej widzieć — o nie! Kosztowałoby ją to bowiem zbyt wiele. Chciałem się raczej zapewnić, że wróciła rzeczywiście, że znowu znajduje się bezpieczna, pod naszym dachem, blizko mnie, osłonięta od burzy i strasznych wypadków dnia dzisiejszego. Dziwne uczucia miotały mną, kiedym się zbliżył do jej pokoju. Nie gniew, nie niewawiść, ale żal ciężki, głęboki czułem w sercu i wielką, niewypowiedzianą litość, dla tej biednej i nieszczęśliwej ofiary szaleństwa Selima. Myślałem o niej jak o gołąbce, którą porwał jastrząb. Ach! ileż biedaczka musiała doznać upokorzeń, przez jakiż wstyd przejść w Chorzelach, w obec starego Mirzy! Przysiągłem sobie natychmiast nie zrobić jej najmniejszego wyrzutu, ani dziś, ani nigdy, i postępować z nią tak, jakby nigdy nic nie zaszło.

W chwili kiedym przyszedł pod drzwi jej pokoju, drzwi te otworzyły się i wyszła z nich stara Węgrowska. Zatrzymałem ją i spytałem:

Czy panienka śpi?

— Nie śpi, nie śpi biedactwo! — odpowiedziała babina. — O mój paniczku złoty,

żeby paniczek wiedział co tu było! Jak starszy pan ryknął na panienkę (tu stara Węgrowska podniosła fartuch i poczęła łzy ocierać), to myślałam, że nieboraczka zaraz na miejscu skona. A przestraszone to było, a przemokłe, o Jezu! Jezu!

— No, a teraz jak się ma?

— Obaczy paniczek, że ona odchoruje to wszystko. Szczęściem, że doktor jest pod ręką.

Kazałem Węgrowskiej wrócić zaraz do Hani i nie zamykać drzwi za sobą, bo chciałem spojrzeć na nią choć z daleka. Jakoż patrząc z ciemnego pokoju przez odchylone drzwi, ujrzałem ją siedzącą na łóżku, ubraną w bieliznę nocną. Na twarzy miała mocne rumieńce, oczy błyszczące; widziałem przytem, że oddycha szybko. Widocznie miała gorączkę.

Wahałem się przez czas jakiś, czy wejść czy nie wejść — ale w tej chwili ksiądz Ludwik trącił mnie w ramię.

— Ojciec cię woła — rzekł.

— Księże Ludwiku! ona chora!

— Doktor zaraz pójdzie znów do niej. Tymczasem rozmówisz się z ojcem. Idź, idź: już późno.

— Która godzina?

— Pierwsza po północy.

Uderzyłem się ręką w czoło. A wszakże to o piątej rano miałem się bić z Selimem!

XI.

Po rozmowie z ojcem, która trwała z pół godziny, wróciłem do stancji i nie kładłem się już wcale. Wyrachowałem, że aby zdążyć na piątą do Wachowej chaty, muszę przynajmniej o czwartej wyjść z domu, miałem więc tylko niespełna trzy godziny przed sobą. Wkrótce zresztą nadszedł i ksiądz Ludwik zobaczyć czym nie chory, po owej szalonej jeździe i czym przebrał się należycie po przemoknięciu. Ale dla mnie przemoknąć, było to samo co i nie przemoknąć. Ksiądz nalegał na mnie, bym zaraz się położył do łóżka, ale tymczasem sam się rozgadał i tak przeszła z godzina czasu. Opowiadał mi jeszcze szczegółowo o tem co mówił stary Mirza. Pokazało się z tego opowiadania, że Selim popełnił poprostu szaleństwo, ale, jak mówił ojcu, nie widział innego sposobu. Sądził, że po dokonanej ucieczce, ojciec jego nie będzie miał innego sposobu jak tylko pobłogosławić, my zaś: oddać mu Hanię. Pokazało się także, że już po rozmowie ze mną nie tylko pisał do Hani, ale widział się z nią, i że właśnie wówczas namówił ją do ucieczki. Dziewczynka, mimo że nie zdawała sobie sprawy z następstw tego kroku, opierała mu się instynktowo ze wszystkich sił, ale Selim opętał ją swemi prośbami i swoją miłością. Przedstawił jej przytem ucieczkę, jako prostą przejażdżkę do Chorzel, po której mieli już być na wieki połączeni i szczęśliwi. Zapewnił ją, że potem sam odwiezie ją do nas napowrót, ale już jako swoją narzeczoną, że ojciec mój zgodzi się na wszystko, ja zaś muszę się zgodzić, a co większa pocieszę się łatwo przy Loli Ustrzyckiej w Ustrzycy. Zaklinał wreszcie Hanię i prosił i błagał. Mówił jej, że on dla niej poświęciłby wszystko, nawet życie; że nie przeżyje rozłączenia, że się utopi, zastrzeli lub otruje. A potem rzucił się jej do nóg, i tyle sprawił, że dziewczynka zgodziła się na wszystko. Skoro jednak ucieczka nastąpiła, i skoro ruszyli z miejsca, Hania przestraszyła się i ze łzami poczęła go błagać, żeby wrócił, ale on nie chciał, bo jak sam ojcu mówił, zapomniał wtedy już o całym świecie. Tak opowiadał księdzu Ludwikowi stary Mirza, a opowiadał może i dla tego, żeby dowieść, że jakkolwiek Selim ważył się na krok szalony, ważył się nań jednak w dobrej wierze. Biorąc to wszystko na uwagę, ksiądz Ludwik nie podzielał gniewu ojca, którego oburzała niewdzięczność Hani. Według księdza, Hania nie była niewdzięczną, była tylko zbłąkaną przez grzeszną, bo światową miłość. Z tego powodu udzielił i mnie ksiądz kilka budujących nauk o światowych uczuciach; ale ja tam wcale nie miałem za złe Hani, że jej miłość była światową, zapłaciłbym tylko życiem za to, żeby była inaczej skierowaną. Dla Hani czułem litość najżywszą, a przytem tak mi już serce przyrosło do niej, że chcąc je oderwać, trzebaby było chyba je rozerwać. Prosiłem jeszcze księdza, żeby wstawił się za nią do ojca i tłómaczył mu jej postępek tak, jak mnie go tłómaczył, poczem pożegnałem go, bo chciałem zostać sam.

Po odejściu księdza, zdjąłem ze ściany ową sławną starą szablę, darowaną mi przez ojca i pistolety, aby przygotować wszystko do jutrzejszego spotkania. O tem spotkaniu nie miałem ani czasu ani ochoty rozmyślać. Chciałem się bić na śmierć i życie — oto wszystko. O Selimie byłem przekonany, że mnie nie zawiedzie. Przetarłem ostrożnie szablę miękką watą; na szerokiej błękitnej jej klindze, mimo jakich dwustu lat wieku nie było najmniejszej skazy, choć nie mało nacięła się za dni swych, hełmów i naramienników, nie mało wypiła krwi szwedzkiej, tatarskiej i tureckiej. Złoty napis: „Jezus Marja!" błyszczał wyraźnie; spróbowałem ostrza: cienkie było jak brzeżek jedwabnej wstążki; błękitne turkusy na rękojeści zdawały się uśmiechać, jakby prosząc się ręki, by je chwyciła i rozgrzała.

Skończywszy z szablą, wziąłem się do pistoletów, bom nie wiedział jaką broń Selim wybierze; napuściłem oliwą zamki i płócienne płatki do kul, poczem nabiłem oba ostrożnie. Szarzało już. Była godzina trzecia. Skończywszy robotę, rzuciłem się na fotel i począłem rozmyślać. Z przebiegu wypadku i z tego co mi powiedział ksiądz Ludwik, wywijał się coraz wyraźniej jeden pewnik, oto, że wszystkiemu co zaszło byłem też i ja nie mało winien. Pytałem siebie, czym spełniał należycie obowiązek opieki, jaki na mnie włożył stary Mikołaj — i odpowiedziałem: nie. Czym myślał tylko o Hani nie o sobie? — odpowiedziałem: nie! O kogo mi chodziło w tej całej sprawie? Poprostu o siebie. A przytem Hania — ta łagodna, bezbronna istota, była między nami tem, czem gołąbka w gnieździe drapieżnych ptaków. Nie mogłem przytłumić w sobie tej niezmiernie przykrej myśli, że obaj z Selimem rozrywaliśmy ją między sobą jak łup ponętny, a w tej walce, gdzie drapieżnikom głównie o siebie chodziło, najwięcej ucierpiała ta, która najmniej była winna. Oto za parę godzin mieliśmy o nią zwieść walkę ostatnią. Przykre, ciężkie to były myśli. Okazało się, że cały ten nasz świat szlachecki za szorstki był dla Hani. Matki mojej na nieszczęście oddawna nie było w domu, a my mężczyźni mieliśmy za szorstkie ręce i zmięliśmy ten delikatny kwiat, rzucony pomiędzy nas losem. Wina ciążyła na całym naszym domu, i winę tę potrzeba było zmazać krwią moją albo Selima.

Byłem gotów na jedno i na drugie.

Tymczasem brzask dzienny coraz silniej i silniej począł zaglądać w moje okna. Za oknem jęły świegotać na powitanie zorzy porannej jaskółki. Zagasiłem świece palące się na stole: było już prawie widno. Godzina wpół do czwartej uderzyła donośnie w sali domowej. „No! czas!" — pomyślałem sobie — i zarzuciwszy na ramiona płaszcz dla ukrycia broni, na wypadek gdyby mnie kto spotkał, wyszedłem ze stancji.

Przechodząc koło domu spostrzegłem, że drzwi główne od sieni, które na noc zamykano zwykle na żelazne lwie paszcze, były już otwarte. Widocznie ktoś wyszedł z domu, musiałem więc zachować wszelką ostrożność, aby się z nim nie spotkać. Cicho skradając się bokiem dziedzińca ku lipowej alei, rozglądałem się ostrożnie na wszystkie strony, ale zdawało mi się, że wszystko na okół śpi jeszcze spokojnie. W alei jednak dopiero podniosłem śmiało głowę, pewny, że mnie już z domu nie zobaczą. Ranek po wczorajszej burzy robił się przeczysty i śliczny. Miodowa woń lip mokrych uderzyła mnie w alei potężnie. Skręciłem na lewo ku kuźni, młynom i grobli, tamtędy bowiem wypadała mi droga do Wachowej chaty. Sen i zmęczenie pod wpływem świeżości poranku i pogody uleciały odemnie daleko. Byłem pełen jakiejś dobrej otuchy, i niby przeczucie jakieś wewnętrzne mówiło mi, że w tej walce, która miała za chwilę nastąpić, ja zwyciężę. Selim strzelał wprawdzie z pistoletów jak mistrz, ale i ja strzelałem nie gorzej: w robieniu szablą przewyższał mnie wprawdzie zręcznością, ale za to ja znów byłem daleko silniejszy — do tego stopnia silniejszy, że zaledwie mógł wytrzymać na szabli moje cięcia. „A zresztą, niech będzie co chce — myślałem sobie — oto jest koniec, i jeśli nie rozwiązanie, to rozcięcie tego węzła gordyjskiego, który krępował mnie i dusił od tak dawna." A przytem Selim w dobrej czy złej wierze wyrządził wielką krzywdę Hani, musiał więc za tę krzywdę zapłacić.

Tak rozmyślając, doszedłem do brzegu stawu. Mgły i opary opadały z powietrza na wodę. Świtanie umalowało błękitne szyby stawów barwami zórz. Wczesny ranek dopiero się rozpoczynał naprawdę; powietrze stawało się coraz przezroczystsze; a rzeźwo było wszędzie, a pogodnie, a rózano a cicho; tylko z szuwarów dochodziło uszu moich kwakanie dzikich kaczek. Byłem już blisko śluzy i mostu, gdy nagle zatrzymałem się jak w ziemię wbity.

Na moście stał mój ojciec z rękami założonemi za siebie i z fajką wygasłą w rękach; stał oparty o poręcz mostu i patrzył zamyślony na wodę i na zorzę poranną. Widocznie tak jak i ja nie mógł zasnąć i wyszedł, chcąc odetchnąć rannem powietrzem, a może spojrzeć tu i owdzie na gospodarstwo.

Nie spostrzegłem go zrazu, bom szedł bokiem drogi, zatem wierzby zasłaniały mi poręcz mostu, byłem jednak nie dalej jak o dziesięć kroków. Schowałem się za wierzbę sam nie wiedząc, co mam na razie robić.

(C. d. n.)

*

WOLNOŚĆ i PAŃSTWO.

STUDJUM SPOŁECZNE.

(Ciąg dalszy).

Lecz może ktoś powie, że bez wolności woli o wolności człowieka w ogóle mowy być nie może. Jakże, rzeknie, można mówić o wolności człowieka wtedy, gdy każdy czyn jego wynikiem jest konieczności, gdy człowiek to co spełnia, spełniać musi nieuchronnie. Nie jestże to sprzeczność?

Zaiste nie: owszem, wolność woli raczej z wolnością człowieka pogodzić się nie da. Jeżeli człowiek może tak dobrze pewnego czynu zaniechać, jak go wykonać może, jeżeli w tym powoduje się jedynie czystą dowolnością, jeżeli nie jest do tego naglony wymaganiem własnej natury swojej, to dlaczegoż powstrzymanie od pewnego czynu się, lub wykonanie go przykrość mu sprawia nieraz. Kiedy jest panem swej woli, to powinienby ją stłumić w sobie, bez żadn j dla siebie przykrości. Niestety! doświadczenie codzienne przeciwnie uczy. Ileż to ludzi cierpi z przyczyny, że nie może spełnić tego, czego po nich natura wymaga; lub że pod wpływem okoliczności zewnętrznych spełniać muszą coś, co ich naturze wręcz przeciwnem jest. Wolność więc, to nie możność postępowania wedle czystej dowolności, ale możność spełniania i zadowalania tego, czego po nas wewnętrznej naszej natury głos wymaga.

Pierwsze tamy działaniu człowieka i pierwsze trudności w osiągnieiu celów i zaspokojeniu pragnień, stawiała człowiekowi natura. Szukał on sposobów pokonania tych trudności i znalazł je w połączeniu się i towarzyszeniu z innymi ludźmi, w utworzeniu społeczeństwa. Pierwsze początki społeczeństw widzimy na Wschodzie; on to dotychczas za kolebkę rodu ludzkiego uznawany bywa. Natura tam jest potężną i majestatyczną.

Siły przyrody objawiają się tam w olbrzymich rozmiarach. Wspaniałe i grozy pełne zjawiska natury wschodnich krajów, rychło podziałać musiały na wyobraźnię mieszkańców owych czarodziejskich okolic. Podziw i groza zrodziły cześć, a fantazja religję stworzyła. Pierwotne religje są napiętnowane bojaźnią i poszanowaniem sił przyrody. Wyrażają się one w potwornych bożyszczach Wschodu, oraz formach ich religijnego kultu. Z początkiem religji zaczynają się modły i ofiary. Czego społeczeństwo pokonać nie może siłą, chce pokonać prośbą i ofiarami. Rzeczą jest naturalną, że człowiek przedewszystkiem pokonać chce to, co go gniecie więcej nad wszystko. Ludom Wschodu ciążył najbardziej bógnatura. To też społeczeństwa tamtejsze przeważnie są religijnemi, a zadaniem wolności ich, zadania religijne. Występują tam trzy grupy główne religijnych pojęć: Buddaizm, religja Egiptu i narodu żydowskiego.

Buddaizm wyrósł na podstawie Braminizmu. Ten ostatnim swoim podziałem na kasty, sprawiał wiele cierpień swoim wyznawcom. Metampsychosis jego przedstawiała człowiekowi możliwość stawania się coraz nieszczęśliwszym w ciągu nieskończonej duszy jego wędrówki. Budda chciał tym cierpieniom koniec położyć. W tym celu wygłasza on człowiekowi zadanie stania się niczem. Podług niego dążenie do *Nirwany* czyli nicestwa jest głównym celem życia ludzkiego. Tylko stawszy się niczem, człowiek może przestać być nieszczęśliwym, a więc szczęście osiągnąć. Blisko połowa ludzkości wyznaje dziś tę straszliwą religję. Tam gdzie każdy winien przedewszystkiem starać się o to, by pobożnem skręceniem karku po życiu pełnem dobrowolnych katuszy, osiągnąć wolność nicestwa, tam kwestja wolności w pojęciu żywotnem dzisiejszych czasów, nie może przedstawiać żadnego interesu.

W Egipcie człowiek również żyje przeważnie dla pozaświatowych celów; lud pracuje nad zbudowaniem sobie grobowca i uczynieniem się mumją. Perjodyczne wylewy Nilu, odradzające ciągle naturę, zrodziły w człowieku myśl przyszłego szczęśliwego odrodzenia, które nawet podobno oznaczono za lat 3000.

Naród żydowski żyjąc wśród przyjaźniejszych przyrodzonych okoliczności i łagodniejszego klimatu, aczkolwiek przejęty grozą przed Panem, nie myślał już o nim wyłącznie i starał się zawrzeć z nim transakcję czyniąc mu ofiary i zachowując jego przykazania. Co będzie po śmierci, lud wybrany nie myśli; boi się tylko zemsty Jehowy na tym świecie, i dlatego nie chce go drażnić.

W ogóle w życiu ludów wschodnich przeważną rolę odgrywa fantazja. Ona tam całkowicie prawie wypełnia to, co nazywamy wewnętrzną naturą człowieka. Religja przez nią stworzona zadowalnia tam człowieka prawie w zupełności, nie ma on tam żadnych prawie dążności i pragnień, którychby w onym czarodziejskim religji zdroju zadowolnić nie mógł. To też kwestja wolności, która dzisiaj tak przeważną w życiu ludów rolę odgrywa, nie wielkie tam mogła mieć znaczenie: Rewolucji w prawdziwem słowa tego znaczeniu, tj. walki ludzi za wolność nie widzimy na Wschodzie:

W świecie klassycznym inaczej było Piękne, pogodne niebo Hellady, uśmiechająca się człowiekowi natura, już nie grozą, ale błogością, duszę jego napełniały. Zaczyna on więcej zwracać uwagę na siebie; widzi piękność postaci swej, poczuwa swoje siły. Bogowie jego też, to nie straszne potwory Wschodu, nie groźny i mściwy Jehowa Żydów, ale raczej grono ludzi wesołych, hulaszczych, a pięknych i potężnych. Grek starożytny idealizuje własną istotę i ten ideał swój czci jako boga. Cześć jego nie jest już ustawicznem błaganiem, ale dziękczynną radości pieśnią, co z wezbranej szczęściem i rozkoszą piersi mu płynie. Z bogami swymi poufali się wkrótce, robi z nich swoich przyjaciół i nieprzyjaciół. Oni sami dają mu do tego powód częstemi mezaljansami ze śmiertelników rodem, oraz rozlicznym wśród ludzi awanturowaniem się po świecie. Mieszkaniec szczęśliwej Hellady zachowując przyjaźne stosunki z bogami swymi zwraca się więcej ku ludziom; zawiera z niemi ściślejsze stosunki i zespala się z niemi w społeczną całość, którą *πολιτεια* zowie. Wiemy z doświadczenia, że człowiek rzecz każdą w samym początku z największym czyni zapałem. Dziełu swemu zupełną daje wiarą i samą doskonałość w nim widzi. Jednostronność, dogmatyzm, zaufanie we własne siły jest przymiotem nieodłącznym wszystkiego co młode. To też i owe młode społeczeństwa Hellady, taki zapał w łonie swem poczuły, tak były przekonane o sile swej i wielmożności, że w działalności swojej na nic uważać się nie zdają. Zaabsorbowały one w zupełności życie jednostek; te ostatnie żyją i działają dla państwa wyłącznie. Wolność starożytnego Greka, to nic innego, tylko być obywatelem *Politei* swojej. Wykluczenie z niej najokropniejszą było dla niego niewolą, ba, często gorszem było od śmierci. To też w Grecji nie można mówić o wolności indywidualnej, ale li tylko o wolności politycznej.

Podobny stan rzeczy widzimy początkowo w Rzymie. W późniejszych czasach myśl panowania i rządzenia ogarnia jednostki. Wolność jest wtedy władzą. Nareszcie cesarstwo kładzie tamę zachciankom jednostek, i zadaje stanowczy cios wolności politycznej. Tu i owdzie pojawiają się jeszcze westchnienia za dawnemi czasy, za dawną republikańską libertas, ale są to już ostatnie jęki konającego klassycznego świata. Pragnienia ludzkie za cesarzy, zwracają się w inną stronę; chęć używania opanowywa wszystkich olbrzymiego cesarstwa mieszkańców. Od wschodu do zachodu brzmi okrzyk z miljona piersi: „panem et circenses.“ Wolność w tych czasach rozpasanych chuci i rozkiełzanych namiętności wszelkiego rodzaju, jest *wolność używania.* Lecz to ostatnie rychło w przesyt się wyradza. W całem też państwie Rzymskiem daje się czuć pewne wyczekiwanie czegoś nowego: wszyscy czują, że świat dawny na schyłku swego istnienia. I występuje Chrystus. Wygłasza on dwie prawdy ludzkości dotąd nieznane: „Oddajcie cesarzowi co jest cesarskiego, a bogu, co jest boskiego,“ i „kochaj bliźniego twego, jak siebie samego.“ Pierwszą zasadą wypowiada walkę dotychczasowemu pojęciu państwa; drugą, znosi różnice szczepowe tak bardzo dotąd oddzielające ludzi od siebie. Myśl rewolucyjna Chrystusa popierana przez apostołów, a szczególniej Jana, ulubionego jego ucznia, dała początek nowemu porządkowi społecznemu. Paweł swemi zasadami i pismami daje podwalinę kościołowi, a tem samem rewolucję w świecie społecznym popiera.

Po długich walkach chrześcijaństwo zyskuje uznanie; a z nim i myśl Chrystusa co do rozdziału państwa i religji. Myśl ta wprowadza w życie społeczne pewien dualizm, który ciągnie się przez całe wieki średnie.

Lecz sama religja chrześcijańska nie była wstanie odrodzić społeczeństwa; potrzeba było nowych sił i żywotnych soków w dawnym napół zbutwiałym świecie. Otóż Germanizm napływający do państwa Rzymskiego, wraz z ideą indywidualizmu i wysokiem pojęciem godności osobistej, przyszedł w pomoc nowej religji. Z upadkiem państwa rzymskiego, nowy nastaje rzeczy porządek, rodzi się feodalizm oparty na osobistych stosunkach między pojedynczemi indywiduami, oraz własności ziemskiej. Zdobywcy, uznając się za prawych właścicieli całego zdobytego terytorjum, rozdzielają je między podwładnych swoich, związanych z niemi obowiązkiem wierności i posłuszeństwa; składają im przywilej posiadania ziemi. Uganianie się za przywilejem, jest cechą charakterystyczną wieków średnich. Można powiedzieć śmiało, że w czasach tych wolność, to przywilej. Wszystko wtedy było przywilejem; wszystko wyjątkiem od prawa, którego w rzeczywistości nie było. Cesarstwo, papieztwo, władza, własność, itd., za przywilej jest uważane. Bóg, papież, cesarz, wassal, kupiec, mieszczanin, nadają różne przywileje, i sami je przyjmują od innych. (C. d. n.)

AWANTURNICZA WYPRAWA

DO CHIWY

BURNABY'EGO

KAPITANA GWARDJI KRÓLEWSKIEJ.

(Z angielskiego).

(Ciąg dalszy).

IX.

Jesteśmy w Chiwie. Minister dworu odpisał Anglikowi, że Chan nietylko zezwala na zwiedzenie swego państwa, ale nawet zaprasza „szlachetnego syna zachodu" i uważać go będzie jako swego gościa. W obec tak grzecznej inwitacji rozpierzchły się wszelkie obawy Burnabyego. Przepłynął z lekkiem sercem i swobodnym umysłem przez Amu-Darją, a stąpiwszy na ziemię Chiwańską uczuł to opadanie kajdan moralnych, jakiego doznaje każdy w chwili, gdy wyjeżdża po za granicę caratu. Dziwna rzecz: ziemia ta sama, to samo powietrze, ten sam klimat, ci sami nawet ludzie, a jednak po tej stronie tej linji granicznej coś tłoczy człowieka, przygniata go, czuje on, że ma politycznie czyste sumienie, a mimo to nie jest pewnym siebie, widzi do koła urzędników-szpiegów i szpiegów-nieurzędników, obawia się więc wszystkiego, każdego podejrzenia, każdego badawczego oka, miarkuje się ze swym głosem, modeluje swe ruchy tak, aby najniewinniej wyglądały, nastraja całą swą postawę na ton baraniej łagodności; gdy natomiast po drugiej stronie tej samej linji (i to bezwzględnie na wszystkich kończynach caratu) czuje się od razu człowiekiem wolnym, oddycha swobodnie, pozwala swym członkom układać się jak im dogodniej, dokoła siebie widzi twarze wesołe, rzekłbyś przyjazne, próbuje swego głosu i głos ten brzmi jakoś pełniej, czyściej, posiada swą charakterystyczną barwę, znamionującą indywidualizm, oko patrzy śmielej, łagodność barania ustąpiła miejsca poczuciu osobistej godności.

Tę właśnie godność osobistą, przywróconą sobie znowu w całej pełni, odczuł Burnaby gdy stanął na lewym brzegu Amu-Darji. Odczuł ją także i Nazar, tylko jako sługa odczuł nie swoją godność ale godność swego pana.

— Karawana nasza jest za skromna — rzekł do Burnabyego; możeby wypadało donająć trochę jeźdźców, żeby to wyglądało z większym szykiem.

— A cóż ci na tym szyku zależy?

— Ilość sług jest miarą dostojności pana. Żeby Wasza Miłość posiadała przynajmniej parę jakich gwiazd (orderów), żeby choć była jenerałem. Naprawdę, to nieodżałowana rzecz, że Wasza Miłość pozwoliła napisać w tym liście, iż jest kapitanem.

— Alboż myślisz, że ranga kapitana jest niskim stopniem?

— Naturalnie. Kapitana nigdy w posły nie wysyłają. Już co najmniej musi być pułkownikiem.

— To trudno, mój kochany. Jestem kapitanem i niczem więcej. A orderu ani jednego nie posiadam. Jednakże na twój projekt, aby donająć kilku jeźdźców, zgodzić się nie mogę, po pierwsze dla tego, że to byłoby marnem wyrzucaniem pieniędzy, a powtóre dla tego, że to byłoby śmiesznem. Przecież tutaj nie znalazłbym nikogo jak tylko Chiwańczyków. Donajęcie więc, ich świadczyłoby, że są oni w mojej służbie dopiero od brzegu rzeki. A zgódź się, że toby mi wcale splendoru nie dodało.

— To prawda, ale w takim razie niech pan przynajmniej pozwoli uszykować należycie karawanę. Któż to widział tak jechać jak my jedziemy, jak gdyby kupcy na jarmark. Przewodnik niech jedzie na przedzie, pan o trzy kroki za nim, ja za panem, a drugi Kirgiz na końcu. Tym sposobem karawana nasza nabierze pewnej powagi i od razu każdy będzie wiedział, który z jeźdźców jest jej właścicielem.

Burnaby nie byłby Anglikiem, żeby się na ten projekt nie zgodził. Uszykowano się tedy według pomysłu Nazara i bacznie przestrzegając porządku, dojechano pod wieczór ku bramom miasta Chiwy.

Mało kto wie zapewne, że Chiwa jest fortecą, wprawdzie azjatycką, ale zawsze fortecą. Posiada naprzód wysokie okopy i głębokie rowy, na okopach wznoszą się grube mury, na ich rogach i załamach ciężkie baszty, u których stóp zwisają mosty zwodzone. I pod tym względem Chiwa jest podobna do wszystkich średniowiecznych fortec europejskich. Natomiast różni się od nich pod względem całej swej charakterystyki. Znamy już konstrukcję domu Chiwańczyka, wielkiego czworoboku ścian nagich i ślepych. Owoż i Chiwa jest podobna do domu, a raczej może dom jest podobny do Chiwy. Co jest naśladownictwem, a co pierwowzorem, określić trudno. Dość, że Chiwa tak samo jak każdy dom chiwański posiada kształt czworoboczny, dokoła wysokie a nagie ściany, i z daleka sprawia efekt taki, jak gdyby była wielką, ale to olbrzymią kamienicą. Przebywszy te zewnętrzne mury, znajdujemy wewnątrz miasto o rysach na wskróś azjatyckich. Wąskie uliczki, malenkie domki, nad ulicami dachy płocienne dla ochrony od palących promieni słonecznych, oto miasto środkowe, handlowe, pełne sklepów, ruchu i życia. Tutaj znajduje się Karawan-seraj czyli ratusz miejski, tutaj są łaźnie, tu wreszcie główny centr handlu, rodzaj *City* chiwańskiej. W około tej *City* przedmieścia, ale przedmieścia wewnętrzne, zamknięte dokoła swemi ścianami i okopami miasta. Przedmieścia wyglądają już nieco inaczej, jednakże zawsze mają charakter azjatycki. Uliczki są także wąskie, ale już na nich nie ma ani sklepów ani zgiełku. Podobne są one do długich korytarzy, otoczonych z obu stron wysokiemi murowanemi ścianami. Gdzie niegdzie znajdują się tylko ciężkie a niskie drzwi, wiodące do wewnątrz ogrodu ukrytego domu. Taka jest fizjonomja Chiwy.

Niepodobna sobie wyobrazić miasta, pisze Burnaby, któreby dla armji najezdniczej byłoby równie trudnem do zdobycia jak Chiwa. A przecież Moskale je zdobyli i to stosunkowo z nieskończenie małemi siłami, a jeszcze mniejszą stratą ludzi. Chiwa liczy przeszło 60.000 mieszkańców. Gdyby to byli ludzie dzielni, odważni, wytrawni w boju; gdyby mieli dobrą broń, spore zasoby amunicji i inteligentnych dowódców; gdyby zechcieli bić się każdy wewnątrz swego domu, z po za ścian tej znakomitej fortecy, to miljonowa armja nie mogłaby opanować Chiwy inaczej jak chyba głodem. Ale Chiwańczycy postąpili sobie najnieroztropniej w świecie, bo wyszli za miasto na spotkanie Moskali i manewrowali w ten sposób, że Moskale w końcu odcięli ich od miasta i podczas gdy oni wałęsali się po polach, sami tymczasem wkroczyli do stolicy, opanowali *sans coup férir* te znakomite mury, porobili w nich szczerby i wyłomy, poobsadzali wały i okopy swą artylerją i zaczęli bombardować domy. Na widok ruiny grożącej miastu, Chan wysłał parlamentarzy i zanim Anglja przyszła z pomocą dyplomatyczną, Chiwa stała się lennem księstwem Moskwy. (C. d. n.)

MAGJA I NAUKA.

(Ciąg dalszy).

III.

Odkrywacze źródeł i skarbów.

Właściciel laski magicznej staje się przez to samo czarodziejem. Zaklęcia jego nabierają mocy, gdyż samo dotknięcie laską skupia działanie sił nadnaturalnych.

Ze wszystkich jednak jej własności największą sławę zjednała sobie moc odkrywania źródeł podziemnych.

Wiadomo że Bachus, który nosił kij zakończony szyszką i owinięty bluszczem i winogradem, wydobył raz żrodło uderzając nim w ziemię.

Podanie przypisujące Mojżeszowi wydobycie zdroju u skały Horebu, jest tylko powtórzeniem tej samej legendy.

Ale myliłby się, ktoby sądził, że w tych podaniach po za legendową formą cudowności nie ma już nic rzeczywistego.

Jeszcze w ostatnich czasach widziano przykłady ludzi, którzy mieli zdolność odkrywania źródeł, a pewien ksiądz francuski nazwiskiem Ricard, zjednał sobie przed kilkunastu laty sławę tak znaczną, iż wzywano go nawet za granicę.

Z zeszłego wieku mamy wiarogodny przykład niejakiego Bartłomieja Bléton, słynnego odkrywacza źródeł. Liczne dokumenty urzędowe różnych gmin i departamentów we Francji stwierdzają, że wędrując po kraju na żądanie, odkrył w ciągu lat 26 od 1755 do 1781 przeszło 300 źródeł, w mniejszej lub większej głębokości. Był to jednak człowiek prosty, dobrej wiary i sam władzę swoją przypisywał tylko wyjątkowej wrażliwości. Dziwne te fakta musiały zwrócić na siebie uwagę lekarzy i przyrodników swojego czasu, którzy też stwierdzili co następuje:

Ile razy Bléton przechodził przez miejsce pod którem pod ziemią ukryta woda płynęła, doznawał dziwnego działania w dołku piersiowym i w przeponie mięśniowej oddzielającej jamę piersiową od brzusznej. Było to uczucie nacisku i niemocy, które pod wpływem nerwów sympatycznych udzielało się wszystkim funkcjom tak zwanego życia roślinnego. Wkrótce przejmował go dreszcz a wreszcie i ogólne drgawki tak gwałtowne, że ledwie mógł się utrzymać na nogach; ręce ziębły, puls zrazu bardzo silny, słabnął stopniowo; twarz też widocznie była zmienioną, okrywał ją pot zimny i całe zachowanie zdawało się zapowiadać ciężką chorobę. Stan taki trwał dopóty, dopóki Bléton znajdował się nad źródłem, a skoro tylko zboczył z jego kierunku, uspokajał się szybko. Siła zaś tych objawów zdawała się zależyć od głębokości i wielkości źródła, a przytem przypadłości były mocniejsze, jeśli szedł w kierunku przeciwnym wodzie. Skutkiem takich prób było zawsze mniej lub więcej długie osłabienie, odczuwał jednak lepiej, jeśli uprzednio był osłab'ony lub głodny.

Robiąc poszukiwania źródeł po dobrym obiedzie odkrywał trudniej, a natomiast skutki chorobliwe występowały później z większą siłą w objawach złego trawienia i tak zwanej morskiej choroby. Pogoda ciepła i sucha sprzyjała poszukiwaniom więcej niż zimna i wilgotna. Mówił nadto, iż woda stojąca podziemna, zarówno jak i płynąca na powierzchni odkrytej nie działały w ten sposób; jeżeli jednak płynął łódką po rzece, doznawał bólu głowy i zmęczenia w członkach, tylko już bez wstrząśnienia wewnętrznego. Pod względem swej organizacji nie przedstawiał zresztą nic widocznie osobliwego, odczuwał tylko silniej niż inni, zmiany elektryczne w atmosferze.

Tego rodzaju wrażliwość, w mniejszym stopniu, jest dosyć pospolitą. Są osoby, które odczuwają zbliżanie się burzy, które nie znoszą bliskiej obecności kotów, a Śniadecki, Frank i Nieszkowski podają nawet wiarogodny opis choroby pewnej histeryczki, która pocieranie lakiem o sukno odczuwała z drugiego pokoju. Że i w sprawie odkrywania źródeł działają głównie wpływy elektryczne, zdaje się świadczyć wrażliwość na nie Blétona. Być zaś może, iż silniejsze działanie wody podziemnej, bystro płynącej, polegało na tem, iż w tym razie większe ilości elektryczności wywiązywały się przez tarcie strumienia o ziemię.

Zawrót głowy jakiego doznają niektóre osoby podczas jazdy łódką, może pochodzić od kołysań, działających ze swej strony na ruchy krwi, ale znam także wypadki, w których sam widok wody płynącej pod nogami, podczas stania na moście, wywoływał objawy chorobliwe.

W tym razie działanie przechodzi z nerwu optycznego na nerwy sympatyczne. Jeden z pierwszorzędnych śpiewaków opery warszawskiej twierdzi nawet, że przechodząc przez most nie potrzebuje patrzeć na wodę, ażeby doznać nieprzyjemnych uczuć w dołku piersiowym.

Wrażliwość na obecność kota, którą sprawdziłem zarówno u osób zdrowych jak i u niektórych magnetyzowanych, zdaje się także należyć do tej samej kategorji.

Oczywiście jednak byłoby błędem przypuszczać, że *wszyscy* tak zwani odkrywacze źródeł, posiadają istotnie opisaną wyżej wrażliwość.

Bardzo wielu z nich należy do rzędu prostych kuglarzy, którzy skorzystawszy raz ze szczęśliwego trafu, dalej prowadzą znachorskie czynności, na rachunek przypadkowej sławy. Lud pod tym względem jest zawsze skory do wiary i bezwiednie na mocy „fantazji dopełniającej“ podtrzymuje reputację oszustów. Jeden z takich przykładów mamy na sławnym poprzedniku Blétona, Jakóbie Aimar Vernay z Saint-Véran, który żył w wieku XVII. Jako chłopiec wiejski odznaczał się już niezwykłym sprytem, a w 18 r. życia zaznajomiwszy się z pewnym uczonym owczarzem, nabył od niego laskę magiczną i postanowił na własną rękę prowadzić rzemiosło. Nie upłynęło kilka lat, a cała okolica opowiadała sobie o niezwykłych cudach młodego hidromauty. Laseczka jego nietylko wykrywała źródła, ale także skarby i kopalnie podziemne; przez dotknięcie jej można było rozpoznać niewiernych mężów i żony, odkrywać złodziei i zbrodniarzy. Sprytny oszust podczas swych wędrówek poznał nietylko stosunki okolicy, ale też nabrał i ogólnej znajomości ludzi, która między łatwowiernymi zapewniała mu wyjątkowe powodzenie. Sława jego doszła do tego stopnia, że gdy w Grenobli popełniono podwójne morderstwo na osobie szynkarza i jego żony i gdy nie można było odkryć zbrodniarzy, prezes trybunału (było to w wieku XVII) postanowił wezwać Aimara. Zapytany oświadczył, że wykryje winnych. Jakoż dostarczono mu wszelkich środków na podróż, w której Aimar odgrywał po prostu rolę sprytnego policjanta. Mimo to, według podania, miał on odkryć jednego tylko spólnika zbrodni, podczas gdy inni uciekli łódką w chwili, gdy się zbliżał do morza.

Pewnego dnia w salonach księcia Kondeusza mówiono o tej sprawie i w ogóle o cudach Aimaru. Wiele osób chciało się przekonać o ich prawdziwości i księżę wezwał go na swój dwór. Lecz z chwilą kiedy nasz czarownik wszedł między ludzi wykształconych, gwiazda jego zgasła, ani jedno z doświadczeń nie udało się i wygnany jako prosty oszust zmuszony był zaniechać dalszych produkcji. (Debay).

Niektórzy autorowie niezbyt skrupulatni w powtarzaniu opowieści, jak np. Perty w swoich *Mistycznych objawach natury ludzkiej*, padają jeszcze kilka przykładów istotnej wrażliwości na metale pod ziemią ukryte. Tych jednak faktów nie możemy uważać za pewne, mimo relacji Kernera w jego *Jasnowidzącej z Prevost* i niektórych wiarogodniejszych badań Reichenbacha, zawartych w *Listach do - Magnetycznych* (tłómaczonych na język polski) i w większem jego dziele: *Der Sensitive Mensch*. Próbowałem je sprawdzać na osobach wyjątkowo wrażliwych a zwłaszcza hipnotyzowanych, ale bez skutku, albo raczej ze skutkiem takim, że w owym biernym stanie organizmu za pomocą fantazji można wywołać wszystko, czego się tylko chce. Można w uśpionego wmówić, że czuje różne metale z odległości, ale nie można sprawdzić, żeby je czuł sam z siebie. Mniemanie magnytezerów, rozgłoszone przez Dumasa w zajmującej jego powieści: „Pamiętniki lekarza,“ jakoby obecność metali a w szczególności żelaza, na osobie usypianej miała przeszkadzać magzetyzowaniu, okazało się także fałszywem. Mimo to jednak działania metali mogących w kombinacji wytwarzać prądy galwaniczne, a nawet działanie magnesu przez pocieranie chorych części jest w pewnych wypadkach prawdopodobnem, jak o tem czytać można w dziele Dra Dropsy pod tyt. „Elektryczność i Magnes w stanie zdrowia i choroby.“

Z samej natury rzeczy wynika, że tego rodzaju fakta bardzo trudne są do sprawdzenia. Czucie słabych prądów elektrycznych może być wyraźnem zaledwie przy wyjątkowem osłabieniu nerwów a i wtedy bardzo trudno odróżnić pobudliwość zwykłą lub chorobliwie fantazyjną, od pobudliwości istotnie elektrycznej.

Ale jeżeli chodzi o wykrywanie min żelaznych, to nauka od dawna ma prawdziwie czarodziejską laseczkę, która nigdy nie zawodzi.

Właśnie w ostatnich czasach *Królewskie Towarzystwo Nauk w Upsali* (1878) ogłosiło ciekawą rozprawę Thalen'a o odkrywaniu pokładów żelaza przy pomocy igiełki magnetycznej. W tym celu używają w Szwecji igły osadzonej bokiem na sztyfciku i szczelnie zamkniętej w oszklonem pudełku. Jeżeli igła zostaje tylko pod działaniem biegunów ziemskich, wówczas zachowuje poziome swe położenie w kierunku południka, gdy jednak pod ziemią znajduje się żelazo, wówczas igiełka przechyla się, zbliżając się mniej lub więcej do położenia pionowego, stosownie do ilości i głębokości pokładów żelaznych.

Thalen ulepszył jeszcze ten system przez dodanie stałego magnesu nad igłą, który równoważy działanie ziemi; stopień przewagi tej ostatniej w skutek obecności pokładów kruszcu, można oczywiście łatwo ocenić na podziałce bussoli.

Nie jestże to prawdziwa laska czarnoksiężka?

(C. d. n.)

KRONIKA NAUKOWA.

(*Nowy telefon Edisona. Telegraf piszący Cowpera. Cienie drobinowe. Co to jest wino?*)

Pisząc sprawozdania z postępu wynalazków, nie można się obecnie obejść bez ciągłego przytaczania nazwiska Edisona. Wyjątkowy umysł tego genjalnego człowieka i niezmordowana praca wprawiają w coraz większe zdumienie. Niemasz prawie miesiąca, żeby z pracowni w Menlo-Park nie wyszła jakaś rzecz nowa i niespodziana. I teraz znowu mamy do zanotowania nowy wynalazek, niepospolitej doniosłości. Jest nim telefon nowego rodzaju, przedstawiony niedawno w Londynie w kole uczonych, przez siostrzeńca Edisona.

Wiadomo, że wszystkie dotychczas znane telefony powtarzają bardzo słabo głos przesyłany za pomocą drutu i tylko niektóre z nich wydają dźwięki dość silne, by je słyszeć można było z odległości stóp kilku, podczas zupełnej ciszy. Edison zbudował telefon mówiący głosem tak donośnym, że go w całej sali słyszeć można.

Budowa tego nowego telefonu prosta jest jak wszystko co od Edisona pochodzi. Wysyłacz jest zwykłym węglowym telefonem, który po drucie, wysyła do stacji odbierającej, prądy, o natężeniu zmiennem, w każdej chwili proporcjonalnem do siły fal dźwięcznych. Najbardziej interesującym jest odbieracz, zupełnie oryginalnie pomyślony. Musimy mu nieco więcej słów poświęcić.

Przed paru laty Edison odkrył nową własność prądu elektrycznego, którą zastosował w tak zwanym Motografie opisywanym już kilkakrotnie w „Tygodniu.“ Własność ta jest następująca. Jeśli jakiekolwiek porowate ciało, jak naprzykład papier lub płytę kamienia wapniowego i tp. namoczymy pewnemi roztworami soli chemicznych jak siarczan sody, zwykły potaż i inne to papier ten poddany wpływowi prądu elektrycznego przedstawia dziwne zjawisko, dotychczas teoretycznie bliżej nie wyjaśnione. Jeśli weźmiemy jakkolwiek zaostrzony pręcik metaliczny i będziemy nim suwali po preparowanym w powyższy sposób papierze, to uczujemy, jak i przy zwykłym papierze, pewien opór, pochodzący od szorstkości tego papieru. Jeśli jednak przepuścimy prąd elektryczny przez ów pręcik metalowy, to papier staje się gładkim i pręcik suwa się z ogromną łatwością, jak igła po lodzie. Im prąd silniejszy, tem papier pod ostrzem staje się bardziej śliskim.

Jeżeli więc pręcik taki będziemy suwali po papierze, w chwili gdy doń wchodzi prąd elektryczny przesyłany przez telefon, prąd mający zmienne co chwilę natężenie, to raz opór będzie słabszym, drugi raz większym, i ręka dozna wstrząśnień. Jeżeli od pręcika przeprowadzimy nitkę, lub sprężynkę do środka napiętnej błony, to błona ta zacznie drgać, a drgania będą odpowiedne do zmian prądu, więc błona powtórzy mowę wypowiedzianą do wysyłacza.

Jest to zasada nowego, Edisonowskiego telefonu. Odbieracz składa się z wałka wapniowego, pokrytego roztworem wspomnianych soli. Na wałku tym opiera się drucik, trący się o jego po-

wierzchnię, w chwili gdy wałek za pomocą korby obracamy. Drugi koniec drucika przymocowanym jest do środka błony mikowej, dość dużych rozmiarów. Oto i cały aparat. Gdy ktoś mówi do wysyłacza, to po drutach biegną prądy o zmiennem natężeniu do odbieracza, wchodzą tam do pręcika, przechodzą przez wałek wapniowy i w każdej chwili zmieniają tarcie na jego powierzchni. Słuchający depeszy, obraca korbą wałka, żeby drucik dotykał w każdej chwili miejsc świeżych. Gdy prąd jest słaby, drucik mocno się trze o powierzchnię wałka, jest przezeń ciągniętym naprzód wspólnie z błoną. Gdy prąd silniejszy, drucik ześlizguje się napowrót, i tą drogą powstają drgania. Podczas prób londyńskich słychać było mowę telefonu w wszystkich punktach dużej sali.

* * *

Inny wynalazek, niepospolitej praktycznej doniosłości był także niedawno pokazywany w Londynie. Jest to telegraf piszący Cowpera, który może stanąć godnie obok telefonu i mikrofonu. Jest to pierwszy rzeczywisty telegraf, przyrząd odpowiadający nazwie, która dosłownie znaczy pisanie z odległości. Aparat Cowpera wypełnia najdokładniej to zadanie. Depesza pisze się piórem na jednej stacji, a jednocześnie na drugiej pióro, jakby niewidzialną ręką ruszane pisze to samo, tym samym charakterem. Były wprawdzie i dawniej telegrafy Casellego, Mayera i innych, które dozwolały przesyłać pismo i rysunki, lecz telegrafy te nie pisały wprost, lecz tylko kopjowały; pismo robiło się osobnym atramentem na metalicznym papierze i telegraf przesyłał każdy punkt pisma osobno. W aparacie Cowpera pisze się zwykłem piórem, a pióro na drugiej stacji jednocześnie robi to samo.

Opisanie telegrafu Cowpera jest trudnem bez rysunku; postaramy się więc to uczynić tylko w ogólnych zarysach.

Przedstawmy sobie dwie ćwiartki papieru równej wielkości, z których jedna leży na jednej stacji, a druga na drugiej, i że na jednej i na drugiej ktoś trzyma ołówek w tym samym punkcie papieru. Położenie tego punktu ściśle oznaczyć możemy, wiedząc jego odległość od dwóch prostopadłych do siebie brzegów papieru. Chcąc żeby jeden i drugi ołówek pisał jednocześnie tym samym charakterem, trzeba żeby w każdej chwili każdy punkt pisma miał na jednej, jak i na drugiej stacji równą odległość od obu brzegów papieru. Żeby więc ołówek na stacji odbierającej pisał to samo, co na stacji wysyłającej trzeba mu nadać ruch taki, żeby obie, prostopadłe do siebie odległości, były odpowiednio równe na dwóch stacjach. Po prostu trzeba za pomocą drutu, prądem elektrycznym, przesłać i jedną i drugą odległość. Cowper robi to tak, że dla obu przeprowadza między dwoma stacjami, dwa druty. Jeden przenosi jedną odległość od jednego brzegu, a drugi drugą. Prąd elektryczny, biegący po obu drutach w każdej chwili jest proporcjonalnym do odległości, a to w ten sposób, iż w obwód wstawia się automatycznie większy opór, im większą jest odległość. Więc na stacji odbierającej mamy w każdej chwili, podczas pisania u obu końców drutów, dwa prądy, o sile proporcjonalnej do obu odległości. Trzeba więc tylko siłę prądu zamienić na odpowiednie ruchy ołówka. Uskutecznia się to za pomocą dwóch silnych galwanometrów. Wiadomo, że igła magnesowa galwanometru odchyla się tem bardziej im silniejszym jest prąd. Otóż odchylenie, przy pomocy odpowiednich drążków, w których bliższy opis wdawać się nie możemy, zużytkowuje się do nadania ruchu pióru piszącemu.

Aparat podczas prób publicznych funkcjonował wybornie i wszyscy rokują mu świetną przyszłość.

* * *

Dla uzupełnienia sprawozdania z zadziwiających odkryć Crookes'a opisanych w ostatnim numerze „Tygodnia". podajemy jeszcze niektóre nowsze i pouczające rezultaty badań. Chcemy tu mówić o tak zwanych *cieniach drobinowych*. Crookes wziął banię szklanną i wypróżnił zeń do znacznego stopnia powietrze. Przez oba końce bani wchodziły dwa bieguny od źródła elektryczności. Ujemny biegun zakończony był prostopadłą tarczą metalową. Naprzeciw niej, w środku bani stała prostopadła płytka szkła zawierającego w sobie nieco *uranu*. Pomiędzy obu zawieszona była mała gwiazdka wycięta z cieniutkiej i przeźroczystej blaszki mikowej. Gdy prąd przechodzi do biegunów, to według poszukiwań Crookesa, opisanych w poprzednim numerze Tygodnia, drobiny rozrzedzonego powietrza zostawały odbijane od tarczy ujemnego biegunu i leciały naprzód. Tam, gdzie uderzyły o tarczę szkła uranowego, powstawało silne fosforyzujące światło. Pochodziło ono od uderzenia drobin odrzuconych od ujemnego bieguna. Jednakowoż w drodze swej pewna część drobin spotykała zawieszoną gwiazdkę mikową, przez którą nie mogły się przebić na drugą stronę. W skutek tego powstawał po za nią cień, widoczny najdokładniej na szkle czerwonem. Na tle jaśniejącej fosforycznie płytki szklanej, widoczną była ciemna gwiazda o bardzo wyraźnych zarysach.

Mamy tu przed sobą nowe potwierdzenie teorji podanej przez Crookesa.

* * *

W ostatnim zeszycie Kosmosu, za rok ubiegły, znajdujemy krótki ustęp zatytułowany „Co to jest wino." Jestto sprawozdanie komisji, złożonej z uczonych i specjalistów, wyznaczonej przez walne zgromadzenie właścicieli winnic, które się odbyło dnia 10. grudnia 1877 roku; zadaniem komisji była odpowiedź na powyższe pytanie.

W skład komisji wchodził prof. Freitag z Bonn, Holtzheuer z Magdeburga, Goullon z Kasselu, O. Schulz z Hannoweru i dr. Lerenner z Magdeburga.

Odpowiedź, wygłoszona po długim namyśle brzmi jak następuje:

I. Wino jestto napój, który powstaje jeśli się sok winogron znachodzących w przyrodzie podda podług postanowień i przyjętego zwyczaju kiśnieniu, a później pozwoli się takowemu wyklarować.

a) Pod wyrazem „podług postanowień" rozumie się sposób za pomocą, którego sok winogron w wino zamienić, i jako takie strawnem uczynić można.

b) Pod wyrazem „podług przyjętego zwyczaju" rozumie się postępowanie przy sporządzaniu wina, które się na dozwolone a wyrażone pod II *a*) i III wymiary ogranicza, a które z postępem techniki i nauk uledz może pewnym zmianom.

II. Nie wolno samowładnie i jednostajnie powiększać żadnego z składników wina.

a) Przy soku winogron jest atoli przyjętym zwyczajem (jeśli ilość zawartego w nim cukru gronowego jest tak małą, iż z takowego nie można otrzymać dającego się pić i przychowywać wina) dodawać przed rozpoczęciem kiśnienia pewną ilość cukru w gatunku zdolnym do fermentowania. Gatunek ten cukru powinien być zupełnie czystym a dodatek nie przewyższać nigdy (wliczając już w to i zawarty w soku cukier) 18—20 procent. Wino z takiego moszczu należy nazywać „uregulowanem." (regulirt).

b) Wszystkich inaczej niż w powyżej wypowiedziany sposób sporządzony i uregulowanych win, nie wolno wydawać jako samorodne, lecz wyraźnie wypisanym wyrazem „Wino sztuczne" (kunstwein) oznaczać i takie sprzedawać.

III. Przy przesączaniu, klarowaniu i t. p. czynnościach niezbędnie do przyrządzenia strawnego wina potrzebnych, należy używać wyłącznie materjałów jak najczystszych wykluczając wszelkie zdrowiu szkodliwe dodatki.

IV. Mięszanie różnych win w tym samym roku otrzymanych jest dozwolonem.

V. Każde wino ma być nazywane według miejscowości lub okolicy, w której do jego sporządzenia użyte winogrona rosły. Gdzieby zaś to nie było możebnem, nazwa powinna oznaczać kraj z którego wino pochodzi.

Kiedyż przyjdą te błogie czasy, że pić będziemy wino, któremu według powyższych przepisów nazwę *wina* dać można?

B. Abakanowicz.

KORESPONDENCJE

Wrocław, w marcu 1879 roku.

Eufemia hr. Ballestern, beletrystka. Tomasz Bailey Aldrich, amerykański beletrysta. Brandes'a, profesora kopenhagskiego znakomite dzieło o literaturze dziewiętnastego wieku.

Między beletrystami, których zaliczają do obozu katolickiego, odznacza się od dwóch lat młodziuchna autorka niemiecka, mieszkająca we Wrocławiu, Eufemja hrabina Balestrem. Kiedy niedawno temu wystąpiła z pierwszą książką swoją „Lose Blätter im Winde," przyznała jej krytyka niemiecka jednogłośnie poprawny, mezkiego hartu język i wielki zapas fantazji. Od tego czasu opublikowała dwie nowe książki, z których jedna „Verschlungene Pfade" jest zbiorem nowellek, a druga „Das Erbe der zweiten Frau" ma być powieścią szerszych rozmiarów. Hr. Ballestrem już dlatego zasłu e je na wspomnienie, bo jest wielką przyjaciółką naszych tradycji, jedną nawet ze swych nowellek pt. „Jadwiga" na tle naszych dziejów osnuła, co między Niemcami do nie licznych wyjątków należy. Przemawia nadzwyczaj ciepło za prawami naszemi, sympatyzuje z niedolą smutnego narodu, za co jej cześć. Wszakże wdzięczność dla autorki, kochającej Polskę, nie może wpłynąć na sąd krytyka o niej jako o „artystce." Dla scharakteryzowania jej talentu streszczę jedną z jej nowellek pt. „Es fiel ein Reif in der Frühlingsnacht" (spadł szron w noc wiosenną). „Włoska księżniczka Giovanna d'Albano, kocha sie w młodym, niemieckim malarzu, Wernerze, którego jednak jako nie szlachcica odpycha, lękając się mezaliansu. Wkrótce potem oświadcza się o nią jakiś książę niemiecki, którego panna przyjmuje. W dzień zaślubin zjawia się przypadkiem wzgardzony kochanek z kilkoma kolegami

w zamku księcia d'Albano. Księżna widzi malarza, zapala się do niego na nowo, staje z nim w oknie, szepce, na co mąż jej nadchodzi, a ujrzawszy rywala strzela do niego z rewolweru. Popłoch, panna ucieka z pałacu, i topi się w Lago-Maggiore. Malarz tymczasem nie jest zabity, tylko ciężko ranny. Po długiej chorobie wraca do zdrowia, a następnie staje się sławnym malarzem i hulaką.“ Treść tę opowiada autorka jak rzecz, która się sama przez się rozumie, nie motywując, ani cieniując. Jako Szlązaczka z rodu lubi, jak wszyscy tej ziemi pieśniarze, żywy jaskrawy koloryt, więc wypadki groźne. Osobiście kocha się autorka w zewnętrznej „pompie“ artyzmu. Lubi książęce salony, możne, bogate biesiady, a za tło historyczne dwory panujących i wielkich panów. Nie umie delikatnie czy obrazów rodzajowych, czy emocji psychicznych malować. Nie powiada, nie pokazuje nigdy, jak się coś stało, tylko: stało się i basta, czyli opowiada, a nie pisze nowel artystycznych. Opowiadania jej jako szkice jaskrawego kolorytu mogą się oczywiście pospolitemu czytelnikowi podobać, ale krytyk musi pracom p. Ballestrem odmówić wręcz wszelkiej wyższej wartości. Pani Ballestrem nie jest dotąd nowellistką. Sądząc jednak po sporym zapasie fantazji i wytrawnej dykcji, wierzymy, że się wyrobi na ciepłą, miłą nowelistkę. Powieściopisarką nigdy nie będzie, bo jej braknie głębszych poglądów na życie, znajomości serca i daru psychicznego motywowania.

I w literaturze panują mody, jak wszędzie. Swego czasu, nie dawno jeszcze, rozrywano sobie Bret Harte'a, tłómaczono go na wszystkie języki itd. Nieznany, urokiem włóczęgi po Kalifornji, otoczony kopacz złota zdobył sobie od razu wielkie audytorium w Europie. Dlaczego? Był w modzie, jak przed nim Cooper, a dalej pani Sand i reszta. Podziwiano prześliczną charakterystykę Bret Harte'a, pełną uwag trafnych, praktycznych, w pismach jego rozrzuconych, świeży koloryt krajobrazów. Prawda, Bret Harte cheraktеryzował znakomicie, co dotąd czyni, ale też nic więcej. Wszakże charakterystyka jest tylko jednym z licznych warunków dobrej powieści pomijając już to, że Bret Harte miał tylko pewne własne charaktery, (kopacze złota, rozbójnicy, ulicznice, słowem indywidua katylinarskie), po za które się nie wychylał. Bret Harte tylko w charakterystyce jest znakomitym malarzem. Pisał swe obrazki *dla charakterów*, a nie tworzył charakterów dla akcji, fabuły powieściowej. Osnowa nie posuwa się nigdzie z logiką artyzmu, nie ma motywowania czynów, jak u hr. Ballestrem; fait accompli przyjmuje autor za coś naturalnego, choć się nie zgadzało z przesłankami (praemissae) ekspozycji lub z pojęciami, jakie sobie wyrobiliśmy o życiu. Dość, że Bret Harte był w modzie, więc chwalono. Wśród tego uwielbienia przejrzano innego autora amerykańskiego, który. choć nie tyle znany na kontynencie, głębszy jest od Bret Harte'a i wyższy talentem. Jest nim Tomasz Bailey Aldrich. Harte jest malarzem rodzajowym (obyczajów), Aldrich psychicznych (serca). Wielka to różnica, której i u nas nie wszyscy rozumieją. Do malowania obyczajowego życia potrzeba wrodzonego talentu spostrzegawczego, nieco techniki językowej i trochę fantazji, a psycholog, znawca serca musi i teoretycznie wiele studjować, musi być filozofem. Zwykle mają obrazy rodzajowe więcej powodzenia, bo łatwiejsze są do zrozumienia, i więcej w nich faktów (akcji zewnętrznej), które rozciekawiają, podczas kiedy psycholog, śledzący drgania serc, przejścia duszy, wysnuwający powieść logicznie z danych w charakterach tylko światlejszego czytelnika zająć może. W tem właśnie jego większa wartość spoczywa, prawda, ale i powód mniejszego powodzenia, boć rodzina światłych nie przeważa tłumu pospolitych czytelników. Dla przykładu szkic osnowy powieści Aldericha pt. Prudence Palfrey. „Ralph Deut, bogaty piwowar, ma kochankę, którą kocha pierwszą i jedyną miłością. Ale panna Mercy Gardner, rozkochuje się w buchalterze bogatego piwowara, któremu też rękę oddaje. Po pięciu latach wraca wdową do Rivermouth, aby oddawszy córeczkę, Prudence pod opiekę swego wielbiciela Ralpha, umrzeć. Prudence dorasta, rowija się w piękną dziewicę i zakochuje się w siostrzeńcu swego opiekuna, Johnie Dencie. Stary piwowar tymczasem pokochał w córce pamięć matki, czyli córkę jako spuściznę pierwszej swej miłości i marzy już na stare lata o słodyczach małżeńskiego pożycia. Dla tego fuka na siostrzeńca, kiedy się ten o Prudence oświadcza. John rusza w świat, do Kalifornii, aby sobie zdobyć majątek, dalej pozycją, w końcu gniazdo dla kochanki. Po drodze spotyka drugiego awanturnika, Jerzego Nevinsa, potem trzeciego. W trójkę kopią w Kalifornii złoto. John zdobywa „specyfik,“ który jesł środkiem do osiągnięcia cielesnego szczęścia na tej ziemi, już wraca do kraju, kiedy go towarzysz, ów Nevins okrada i ucieka. John idzie po raz drugi w kopalnie. Tymczasem odbywa się w domu dziwna walka psychologiczna. Stary piwowar bierze się do panny, która go nie chce; stary piwowar zaczyna się zamyślać, reflektować, walczyć z sobą, aż po dłuższym czasie lepsza cząstka w nim zwycięża. Zrzeka się mrzonek swoich niewczesnych na korzyść Johna. Ale gdzież on. ten John. Mija rok, drugi, trzeci się kończy, a Johna nie ma. W tym czasie przybywa do gminy nowy pastor, Dillingham, który wymową i namaszczonem wystąpieniem i przykładnem życiem całą okolicę podbija. Od niego dowiaduje się Prudence, że John poszedł na wojnę, a od jakiegoś pułkownika Todhuatera, że zginął. Pastor bierze się do panny. Nalega gmina, nalega w końcu sam opiekun, pastora wielbiciel, nalegają wszyscy — panna waha się, aż już, już chce uledz, kiedy jej stara pieśń „Alt Robin Gray,“ którą na życzenie pastora śpiewa, Johna przypomina. Ucieka z salonu i płacze. Nazajutrz posyła pastorowi stanowczą odmowę Wtem zjawia się John; wydaje się, że ów wielbiony pastor jest owym złodziejem Nevinsem, że on to przejmował listy Johna, podsunął rzekomego pułkownika itd. Sprawa wyświeca się i koniec.“ Jestto materjał wcale nie efektowny. Opowieść prosta, ale pełna świateł, rzucanych na serce niewieście, które mimo całego idealizmu bywa więcej od męzkiego praktyczne i ziemskie. Charaktery tu wszystkie bardzo dobrze i delikatnie cieniowane, a co najgłówniejsza realno-prawdziwe i konsekwentne w akcji.

Oprócz tej głównej powieści napisał Alderich kilka mniejszych nowel (Marjorin Daw, walka o życie, Mehetabel syn, romans z Rivermouth). W tych mniejszych pracach jest Alderich humorystą. Może być, że się mylę, ale zdaje mi się, że autor nie jest urodzonym humorystą czuć jakieś „przymuszanie się,“ jakieś naciąganie duszy i fantazji do sztucznego śmiechu, ztąd wrażenie maniery. Kto się do humoru przymusza, nie znajduje go nigdy, owszem, tworzy karykatury. Humor jest dziś w modzie w Ameryce. Być może, iż ta moda powołuje Aldericha do naginania swego talentu, z natury nie śmiesznego, do humorystyki. Samo się przez się rozumie, że przymuszanie talentu szkodzi nie tylko utworom, ale i samemu autorowi, bo wykoleja go z właściwego kierunku. W ostatniej nowelce „Romans z Rivermouth“ jest Alderich zupełnie sobą. Ta sama tu charakterystyka, to samo odczuwanie najlżejszych drgnięć serca, jak w „Prudency Palfrey.“ Jestto maleńka robota, ale miluchna, chef d'oeuvre w swoim rodzaju, jak np. mało znany utwór Korzeniowskiego p. t. „Anilka,“ który niejednokrotnie odczytywałem, a dotąd się nie znudził, albo de Musseta „A quoi revent les jeunes filles.“

G. Brandes, profesor kopenhagskiego uniwersytetu, wydał przed dwoma latami znakomite dzieło literacko krytyczne „pogląd na literaturę XIX. wieku,“ które Adolf Strodtmann niedawno na język niemiecki przełożył. Z tego tłomaczenia pt. „die Hauptströmungen der Literatur des 19. Jahrhunderts“ referuję. Po bardzo treściwym wstępie, w którym autor prawi o ważności literatury w ogóle, zaczyna się pogląd na kierunki duchowe XIX. wieku. Kto chce mówić o literaturze 19tego wieku, musi zacząć od autorów francuskich przed wielką rewolucją, bo inaczej trudno złączyć dwie epoki tak bardzo od siebie różne. Autor zaczyna też od Woltera i Russa. Dzieła, charaktery, biografie tych autorów rozbiera Brandes bardzo obszernie i z wielką znajomością przedmiotu. Od Woltera i Russa przechodzi do Chateaubrianda, Lénancoura, Constanta, pani de Staël, René, Obermana, Adolphe, Delphine i Corinna są ulubieńcami Brandesa z tej epoki. Tak się w nich zakochał, że im prawie cały pierwszy tom poświęca i że, co główniejsza, zupełnie ówczesny ruch niemieckiego ducha pomija. Dopiero w końcu pierwszego tomu przypomniał sobie, że i Niemcy żyją. Pani de Staël, raczej Corinna jej, zajęła kilkadziesiąt stron. Brandes nie krytykuje tego dzieła, ale je uwielbia. Najwięcej ukryte piękności umie wydobyć na wierzch, a wady i usterki starannie zakrywa. Nazywa ją wyraźnie poprzedniczką pani Sand. Mówiąc o Corinnie odbiega do Włoch, które opisuje, dotyka i ówczesnej literatury włoskiej. Odprawiwszy Francuzów, przechodzi do Niemców, do epoki romantycznej. Szkoła romantyczna w ogóle, a po szczególe niemiecka nie doczekała się dotąd racjonalnego, samowiednego historjografa. W pojedyńczych biografiach, artykułach powiedziano już wiele trafnego i dobrego o romantyzmie, ale wyczerpującego traktatu, jasnego poglądu na wielką tę, przewrotową epokę dotąd nie ma. Gdzież powód? Może być dla tego, że pamięć jeszcze zbyt świeża, że tu i owdzie pokutują jeszcze marodery, niedobitki wielkiej armji, która niedawno jeszcze światu duchowemu panowała.

W Niemczech zaszkodził romantyzmowi zwrot filozofji poszelingowskiej, a mianowicie roczniki (Jahrbücher) Ruge'go. Od tego czasu rozpoczyna się wstręt do romantyzmu, choć większa część przeciw temu kierunkowi wywołujących krytyków nie ma samowiedzy zwrotu. Prawi się dziś wiele o realizmie, jak niedawno o romantyzmie, a gdyby na serjo odpowiedzieć przyszło: czemże ten realizm? Kto wie, ileby się rozumnych odpowiedzi znalazło. Na sądy takie hurtowne wpływa zwykle moda. Jest modą prawić o realizmie, więc się prawi. Wszystko, co jest, ma racją bytu, wszystko, co było, *miało* tę rację. O tem nie powinien krytyk zapominać. Panowanie romantyzmu należy do faktów w historji ludzkiego rozwoju, ergo,-romantyzm był w swoim czasie uprawniony jako nowy dalszy etap pochodu ludzkiego ducha. A zresztą, poezja bez romantycznych pierwiastków nie jest już dziś poezją. Najskrajniejszy realista przejął dziedzictwo romantyków, bo wychował się na ich wzorach. Już natura, jeźli chce być piękną, musi mieć trochę romantyczności, już ludzie *zdolniejsi* są po trosze w prywatnem życiu romantykami, a nawet całe epoki historyczne romantyzmem trącą, jak np. nasza szlachetczyzna. Czem byłby taki Daudet, gdyby *tylko* nagie, bezbarwne, pospolite życie malował? Nawet Emil Zola ubiera swoje drastycznie kreślone postacie w draperje poezji, iluzji, obsłon czyli w romantyzm. Rozbierzmy Szekspira, Calderona, Cervantesa z szat romantycznych, a zostaną... filozofowie lub psycholodzy. Z tego stanowiska objektywnego ocenia Brandes kierunek romantyczny i dlatego rozświecił pierwszy wiele tajemnic niepogrzebanego jeszcze upiora. Rozebrawszy dzieła romantyków niemieckich, męsza się do ich prywatnego życia. Orgie Szleglów, Schleiermachera itd. znajdują w nim bezlitośnego sędziego. Jednej rzeczy nie rozumie u romantyków — oto ironji, satyry, ostatnich tego kierunku reprezentantów. Romantyzm tylko w początkach zwolenników swoich entuzjazmował. Rychło przyszła samowiedza niemocy ducha i na tej drodze, rychło przekonali się romantycy, że znów na manowcach błądzą, uwiedzeni ognikiem rewolucyjnym. Ignoramus! Niestety! Ostatnia to zwrotka każdego hymnu tytanicznego, ostatnia skarga wiecznie pragnącej a nigdy niezaspokojonej duszy ludzkiej. Po wielkich nadziejach, gdy je zawiedziono, nadchodzi wielki ducha upadek. Więc naprzód ironja, szyderstwo, rozrywanie postawionych co dopiero ołtarzów, a potem klątwa na niedolę tej ziemi. Szyderstwo romantyzmu jest naturalną konsekwencją jego założenia, czyli: nareszcie znaleźliśmy prawdziwą drogę. Nieprawda, nie znaleźliśmy, więc wszystko głupstwo i basta. Tego Brandes nie rozumie, bo przemawia z katedry uczonego profesora, który sobie pewne formułki o *celu* literatury wyrobił. Wszakże literatura nie zawsze być może samowiednie utylitarną, bo jest często bezwiednem echem walk, zwątpień i dążeń tej lub owej epoki. Brandes potępia z góry szyderstwo konającego romantyzmu. Filozof-literat nie byłby go potępił, nazwałby go płaczem umęczonej duszy. Brandes potępia Tieck'a (William Lowella), a przecież wielkie to dzieło; tak samo Schlegla krytyki i (Fausta) Goethego. Jana Pawła nie rozumie autor wcale. Roquairol i Titan (Jana Pawła) są dla uczonego profesora horendami. Oczywiście, poetą być trzeba samemu, aby ukochać największego anatoma psychicznego serca, nie zrażając się jego dziwactwem formy i dykcji. Tymczasem tyle o tem dziele. W przyszłym liście nastąpi dokończenie, bo kronikarz liczyć się musi z miejscem.

T. Jeske Choiński.

Z Wiktora Hugo.

(Z najnowszego poematu „La pitié suprème".)

III.

A teraz, niech się każdy zagłębi sam w sobie.
Zobaczmy, kto bądź żyje: wesół czy w żałobie,
Silny, szczęśliwy, taki co go gnębią losy,
Potężny, wielki, mały, bogaty czy bosy,
Pierwszy lepszy przechodzień, słaby, głodny, syty...
Przypuśćmy, że na strome wzniesiono nas szczyty,
Przypuśćmy, żeśmy dzieckiem bez wiedzy i winy;
Że ród ludzki zalega przed nami głębiny,
A u stóp naszych ziemia wielka i obfita.
Dają nam to. A teraz, niech nas kto zapyta,
Nas, stojących tam, chwiejnych, bez gwiazdy na niebie:
— Czy jest wśród was choć jeden co ręczy za siebie?
Czy jest, ktoby uczciwie rzekł: jestem istotą
Której nie olśni u nóg rozesłane złoto,
Wszechmocna władza, wielka, bez granic potęga,
Coby rzekł: do mej duszy trucizna nie sięga,
Jestem dzieckiem silniejszem od wszechwładztwa chęci;
Będę nieczułym, głuchym na głos co mnie nęci;
Ziemia mi się przedstawi jak bankiet uroczy,
Świat mi się cały odda! a ja zamknę oczy;
Podadzą mi rozkosze, sny upajające,
Dumę, sławę, wawrzyny — a ja je odtrącę.
Ja, co nic nie rozumiem, ja wszystko odgadnę!
Jestże wśród was choć jeden, co dzięki układnej,
Podstępnej i nikczemnej ludzkiej usłużności,
Ujrzawszy u stóp własnej, bezsilnej małości
Nagle otchłań przepychu, nie upaść w nią zdoła?
Widząc świat na kolanach, pochylone czoła,
I wszechwładzę, co sama w jego dłonie biegnie,
Jestże wśród was choć jeden, który nie ulegnie?
Któż taki — prócz Chrystusa — „oto ja" odpowie?
Wstecz! wstecz! przed straszną marą co się królem zowie!
Przed otchłanią co ogniem i krwią bucha — tronem.

Ludzie! czyńcie jałmużnę. Z czołem pochylonem —
Jałmużnę Komu? Wszystkim. Wszystkim ona dłużną.
Pomyślcie, że współczucie jest również jałmużną.
Że litość, która żywi, rozbraja, przebacza,
Spada z dłoni szelągiem, z serca łzą się stacza.

IV.

Tyranja! straszne schody, na dno zła wiodące!
Czarne, śliskie, pochyłe, fatalne! chwiejące!
Co stopień — światło niknie, zmrok zapada szerszy,
I nieszczęsny! kto nogę postawi na pierwszy.
To błędna wężownica co ku sobie mami
W głąb' zdradzieckiej otchłani i stopy krwią plami.
Ślepe sumienie wiedzie tam duszę zdrętwiałą;
Z każdym krokiem, coraz się cięższem staje ciało,
Zwierz nad duchem przeważa i na dół go spycha,
A piersiom brak powietrza, którem świat oddycha....

Dziś — to błąd tylko; — jutro zbrodnia bez nazwiska.
Będzie mordował jutro, ten kto dziś uciska.

I schodzi się jak we śnie; i powietrze sycą
Widziadła; i oblane bladą błyskawicą
Wszystkie mary co na świat szerzą strach i ciemność,
Wiarołomstwo, morderstwo, rozpusta, nikczemność,
Przerażone oblicza, obłąkane twarze,
Płyną ...

— To ty Kainie? Tyżeś to Cezarze?...
I czuć dymy kadzideł i kostnic swąd tłusty,
A widziadła w śmiertelne przyodziane chusty
Są tam wszystkie pod strasznym, bladym firmamentem,
Snując się po tych stopniach jak w kole zaklętem,
Każde z nich jak wąż duszę tyrana owija:
Agrypina wpółnaga, krzycząca: zabijaj!
Ninus, Semiramida, Achab, Izabella,
Molay przywołujący na stosie mściciela,
Agnieszka potępiona, Atylla ponury,
Omar, Berta szarpana kleszczami tortury,
Messalina szalona, wśród dzikiej rozpusty,
Brunhilda, lady Macbeth, Aleksander szósty,
Alaryk druzgocący na kolanach ludy,
I Cyrus i Jozue krwawy prorok Judy,
Stuart bez głowy, Albrecht bez języka, blady,
Przechodzą i wołają: wstępuj w nasze ślady.
Panuj! rządź samowolnie, rób tak jak ja robię!
Sądzim się być w świątyni, a jesteśmy w grobie.
Każdy stopień pod nogą jak żywy się kłębi
I spycha coraz niżej na stopień — ku głębi."
— Fryderyku! Karolu! Piotrze! precz z sumieniem!
Bądź ołowiem, bądź stalą, żelazem, kamieniem!
Po niewinnych, bierz dobrych — na miecze! na krzyże!
Króluj! Niżej! schodź niżej! niżej! niżej! niżej!

Wstrzymać się? W jaki sposób? Wynijść — niepodobna!
I schodzi się; szał wzrasta, i coraz żałobna
Noc na tych krwawych stopniach swój całun rozściela.
Schodzi się — bez wyrzutów, łez, bez przyjaciela.....
Ani gwiazd, ani nieba; dzień został na szczycie —
Otchłań. I słychać groźnych Eumenid wycie.

M. Rodoć.

UKRYTE SKARBY

POWIEŚĆ

SALWATORA FARINA

przekład

A. CALLIER.

ROZDZIAŁ I.

Osoby: pan Gioachino Poma — pan Romolo Affani — Małżeństwo Trombetta.

Co wieczór regularnie doktor Trombetta złościł się i gderał; może hołdował on zdaniu, że ludzkiemu organizmowi po południowej drzemce koniecznie jest potrzebnem elektryczne wyładowanie systemu nerwowego.

Ale to tylko hipoteza. Jaka bądź jednak była tego przyczyna gniewał się na wszystko, wszystkiemu przyganiał, sprzeczał z wszystkimi i z samym sobą nawet. Był on dawniej wojskowym doktorem; teraz trapiła go podagra i nieraz też w braku innego łupu, sprzeczał się z swemi cierpieniami, oświadczając im kategorycznie, że jako dawnego przyjaciela i towarzysza broni winne by go zostawić w spokoju. A w takich chwilach jeszcze humor jego był najznośniejszym, wtedy obu „dobrym chłopcom" panu Gioachino Poma i panu Romolo Affani, wolno było oblicza swe rozświecić uśmiechem zadowolenia.

Każdy z obu tych „dobrych chłopców" miał po sześćdziesiątce na grzbiecie, trochę reumatyzmu w kościach i sporo chronicznego kataru; były to w gruncie wszakże tylko drobne dolegliwości, które wobec stokroć potężniejszej podagry doktora Rocco, starali się obaj ukrywać o ile możności. Z reumatyzmem udawało im się to zazwyczaj, gorzej było z katarem.

Jeśli więc mimo jego niesłychanej drażliwości i zgryźliwego usposobienia, mimo tej tyranki podagry, co wraz z gospodarzem teroryzowała dom cały, panowie Gioachino Poma i Romolo Affani naprzód gorąco pragnęli a potem jako osobliwszą powitali łaskę, gdy ich doktor Rocco przyjął za stołowników i tym sposobem dozwolił codziennego do swego domu wstępu, to musiał do tego domu ciągnąć ich jakiś osobliwszy magnes. Właściwie przecież były tam dwa magnesy: Pani Tranquillina, małżonka doktora Rocco i córka jej Gabriella „najpiękniejsza w świecie dziewczyna."

Nim jeszcze w doktorze Rocco wstręt do śniegu i deszczu stał się silniejszym niż niechęć do rodu ludzkiego i nim tenże spowodował go do opuszczenia wiejskiej zaciszy i zamieszkiwania przez ośm miesięcy roku w Medjolanie, panowie Gioachino i Romolo powzięli myśl wielce rozumną, dzielenia z sobą dolegliwości życia i jak dwaj studenci zajęli jedno wspólne mieszkanie. Nie mało rzeczy złożyło się na dojrzenie tego projektu; naprzykład niewątpliwem się okazało, że w żadnej kawiarni miasta nie sposób było wysiedzieć kilku minut nie narażając się na groźne przeciągi; w klubie trzeba było umieć rozprawiać dowcipnie, by nie zostać wliczonym między stare rupiecie, a co dopiero w dnie mroźne zimowe, to już wychodzenie z domu samo w sobie było męką nielada. Ale było i więcej jeszcze powodów. Podczas pierwszego przedstawienia najnowszej opery w teatrze La Scala, Gioachino trzy razy zbudził swego przyjaciela Romolo ze słodkiej drzemki, która go pochwyciła w objęciach parterowego fotelu; a Romolo oddał też samą przysługę wzajem swemu przyjacielowi, wprawdzie raz tylko, ale za to w najpiękniejszem miejscu, podczas baletu kapłanek. A już to nie przeszedł i jeden tydzień, by obu przyjaciołom nie śnił się dom własny, ciepły, promienny domek, rozświecony obecnością żony i z jakiego pół tuzina dziatwy płci obojej. Gioachino w błogich snach takich bywał ojcem zdolnego chłopczyny, deklinującego *„mensa, mensae"*, a Romolo znów taż sama noc obdarzała prześliczną córeczką, bladą jak jutrzenka, złotowłosą jak kłos pszeniczny a smętną jak zachód słońca....

Cudne sny, ktore poranek rozpraszał...

Pewnego dnia więc tak się odezwał pan Poma do pana Affani:

— Kochany mój Romolo, masz już lat sześćdziesiąt na karku; wprawdzie to nie jest znow tak bardzo wiele, bo kto umie lata nosić, tego one nie przyciskają do ziemi, a ty umiesz je nosić prawdziwie; niemal twierdziłbym, że moje pięćdziesiąt dziewięć czynią mnie starszym daleko. Dajmy wszakże latom pokój! Mniejsza o wiek — główna rzecz nudy. Nudzę się; czy ty nie?

— Ja także.

— Dobrze. Wiesz ja kiedy wieczorem przychodzę do domu, kiedy, zastaję zimne puste pokoje i zaspanego służącego, wtedy czuję takąż samą próżnię, chłód takiż sam w sercu; a ty czy nie?

— Ja także.

— Przyszło mi coś na myśl: zamieszkajmy razem! Wówczas reumatyzmy kawiarni nie będą nas nawiedzać ani też klubowi przyjaciele. Zdaje mi się, że się obaj wybornie będziem z sobą zgadzać; znamy się dokładnie, ja bez trudu przyzwyczaję się do twoich słabości, a i ty bez wielkiej pracy wkrótce nawykniesz do moich.

Uśmiechnął się przy tych słowach nieznacznie. Nie byłoż to jawnem, że jego słabostki w gruncie rzeczy były najczystszej wody zaletami?

— Będziem się zgadzać niewątpliwie — przytwórzył Romolo.

I zgadzali się też rzeczywiście; ściślejsze ich stosunki dowiodły owszem, że byli podobniejszymi do siebie wzajem niż sądzili. W religijnych swych

i politycznych poglądach, w tych wszystkich na poły zapomnianych pojęciach, które zazwyczaj znów dopiero wiek późniejszy z głębin serca wywabia, najkompletniej się nie różnili. Jeśli zaś czasem rozchodziły się ich drogi, to tylko były to boczne, krótkie drożyny, które niebawem schodziły się znów z sobą, by obaj podróżnicy mogli dalej ręka w rękę iść szerokim, głównym gościńcem.

Przenośnia o bocznych drożynach nie jest bynajmniej naszą własnością. Wynalazek to był Gioachina, ale Romolo całem sercem się doń przyłączył pomagając do prostowań i poprawek, byle znów zejść się w jednem.

Obaj byli oni tego zdania, że dwa są rodzaje dyskusji. Albo idzie się wspólną drogą i dotrzymuje sobie wzajem kroku wspierając się i pouczając wzajemnie — i taka dyskusja obfituje w owoce. Albo też drogi rozchodzą się zaraz od samego początku i żaden z dyskutujących nie wie gdzie wyjdzie. Im dalej się idzie, tem więcej się oddala od swego towarzysza; iż mówisz, ja nie zwracam nawet uwagi na moje zdrowie, bo w tej samej chwili rozmyślam nad tem, co ci powiem gdy umilkniesz, a jeśli nie umilkniesz, na czas pewnie przerwę twoje wywody; ty naturalnie także nie dopatrzysz słuszności moich dowodzeń i bez ceremonji będziesz mi przerywał, aż póki nie zajdziem już tak daleko, że porozumienie stanie się niemożliwem. Koniec końcem rozejdziem się, w najlepszym razie nie rzuciwszy sobie wzajem w oczy epitetem osła, choć w duszy każdy nazwie tak swego przeciwnika, nie przekonani ani trochę, każdy z powziętem z góry mniemaniem, i to jest dyskusja bezowocna.

Samo przez się jest jasnem, że ostatni ten rodzaj dyskusji, obcy był naszym dwóm nierozłącznym.

Obaj cierpieli na bezsenność; łóżka ich stały w jednym pokoju, tuż obok siebie i w długie zimowe noce nieraz zdarzało się, że się zbudzili ale każdy przez wzgląd na drugiego zachowywał się spokojnie, aż wreszcie Romolo westchnął! Gioachino? a Gioachino odpowiedział echem: Romolo!

Wtedy zapalała się świeca i rozpoczynała na dobre gawędka, oba starzy zapominali o swym reumatyzmie i pozwalali obrazom przeszłości przesuwać się przed oczyma duszy.

Gioachino miał w swych wspomnieniach cały romans; co noc produkował zeń jeden rozdział a nigdy przecież nie dotarł jeszcze do końca; był to romans nieskończony. Święty Boże! Już bo ten Gioachino miał na sumieniu!

Inna rzecz Romolo; on prowadził skromne, ciche życie, nie przedsiębrał nigdy nic wymagającego osobliwszej odwagi. Podboje nie przychodziły mu nigdy ze zbytnią trudnością, nie dla tego by należał do liczby „niepokonanych," ale dla tego po prostu, że zawsze przypuszczał szturm tylko do fortec wygłodzonych. W dobroduszności swej doznawał on pewnego zadowolenia na myśl, że nigdy przez niego nie płakała żadna opuszczona kochanka, że nigdy ni jeden włos nie posiwiał z jego powodu żadnemu małżonkowi, że niczego w życiu nie obraził i nie zbezcześcił.

Ale czemuż przy tak szczęśliwem usposobieniu nie ożenił się?

I Gioachino po sto razy zadawał mu toż samo pytanie, przy tej sposobności zawsze uniewinniając sam siebie z zarzutu bezżenności.

Łatwo pojąć, że on nie mógł się ożenić, skoro każda niemal z tych kobiet, które rozkochiwał w sobie śmiertelnie miała już męża. Jednej z nich, która utraciła małżonka i spodziewała się odnaleźć go w Gioachinie, groziło omal wydrapanie ócz ze strony owych nie wiem już wielu opuszczonych piękności.

By więc nie pozbawić ją światła oczu, Gioachino wyswatał ją z innym. Biedaczka wprawdzie napłakała się nie mało, ale od czegoż u kobiet oczy, a bądź co bądź lepiej to przecież niż żyć z wydrapanemi oczyma i nie módz już płakać.

Jeśli więc Gioachino mógł się żalić na brak żony i dzieci, to przynajmniej nie spadała nań za to żadna odpowiedzialność i nie jego była w tem wina. Ale Romolo?

Romolo w trzydziestym jeszcze roku życia pisał poezje do jakiejś doskonałej istoty, której nie mógł się spodziewać znaleźć kiedybądź na ziemi, składał nieskończoną mnogość sonetów naszpilkowanych bogato metaforami, cangony, w których zwierzał się z swych uczuć zefirom i znosił drwiny przyjaciół ze zdumiewającym stoicyzmem. Mimo to wszakże nie mógł napotkać nigdzie swego ideału: jasnowłosego jak kłos pszenicy, bladego jak jutrzenka a smętnego jak zachód słońca.

Wreszcie skończywszy lat trzydzieści, spotkał go na drodze życia: miała lat dwadzieścia, imię Franquiliny, czarne jak heban włosy i nie była ani trochę smętną. Ztąd powstało nieco zamięszania na parnasie Romola; blade jutrzenki i smętne zachody słońca nie chciały tak jakoś ustąpić dobrowolnie i zwolna nawykały do niejakich zmian na różane jutrzenki i ogniste zachody; to wszakże tylko było jedynem wyznaniem; do innego się nie posunął. Za to genjusze wymowy zawisły nad biurkiem Romola powodzią nowych pomysłów i pełnych życia obrazów.

Kochał jak tylko on—jeśli należy dać wiarę jego wierszom — kochać był w stanie, kochał aż „do rozpaczy"; ku niemałej irytacji sąsiadów, całemi godzinami stawał pod oknem trzeciego piętra po to tylko, by po za szybą ujrzeć uroczą twarzyczkę; jakkolwiek mógł ją chyba przeczuć raczej niż zobaczyć, bo biedny Romolo nie był dalekowidzem. Ale miłość zrobiła go podstępnym dyplomatą: doszedł wreszcie do tego, że udało mu się wedrzeć do jej domu, popatrzeć w oczy ukochanej, uścisnąć jej rękę i porozmawiać z nią o pięknej lecz zmiennej pogodzie, która łatwo może zamienić się w deszcze.

Pojmowali się i podobali sobie wzajemnie — pokochali się oboje; Franquillina byłaby dla Romola zrobiła wszystko co młodej dziewczynie zrobić jest dozwolonem, mianowicie byłaby go zaślubiła; Romolo natomiast oddałby był Bóg wie nieco dla Franquiliny: sta kropli krwi własnej, sta sonetów o prawidłowych rymach i akrostych: — Oh Franquillino! Ale zaślubić ją ani mu przychodziło na myśl. Przyjaciele jego, kawalerzy, tyle mu złego naopowiadali o małżeństwie, że czuł dreszcz tajemny a zbawienny na samą myśl o niem: jemu chodziło o to by módz kochać Franquillinę na ziemi i w niebie. I zaprawdę nie jestże to dosyć?...

Nagle zkądsiś wypłynął rywal, jakiś lekarz wojskowy. Ten był energiczny i zręczny, zaledwie dostrzegł u siebie symptomatów jakiegoś sercowego cierpienia, natychmiast przedsięwziął należną operację, to jest oświadczył się o rękę dziewczyny.

Franquilina dała mu kosza w jak najgrzeczniejszej formie, ale doktor Rocco się nie uląkł; czuł wciąż w sobie chorobę i wiedział, że lekarstwo na nią zwie się „Franquilliną." Starał się bezprzestannie w mowie, obejściu i całem zachowaniu okazać się jak najprzyjemniejszym,—a nie był bynajmniej brzydkim, owszem w wojskowym swym mundurze robił wrażenie bardzo przystojnego mężczyzny.

Furje zazdrości zagnieździły się w piersi Romola; codziennie kazał Franquillinie powtarzać sobie przysięgi wiekuistej miłości, a co noc w rymowanych wierszach rzucał losom najniepoetyczniejsze złorzeczenia.

Nakoniec nadszedł dzień smutny, fatalny poniedziałek, w którym ojciec ubóstwionego dziewczęcia — czemuż bo i ubóstwiane dziewczęta muszą mieć ojców! — nadszedł więc taki poniedziałek, w którym ten ojciec najzwyczajniejszego gatunku, ten ojciec tyran, tak w najnierymowańszej prozie przemówił do Romola: mojej córce pora iść za mąż; ja jestem stary i radbym nim zamknę oczy na zawsze zobaczyć ją w własnym już domu. Doktór Rocco prosił mnie o jej rękę; ona odmówiła mu — tego nikt jej zabronić nie może — i w tych dniach wpadł mi w ręce pewien pański akrostych, —przeczytałem go z przyjemnością,— dużo w nim śmiałych obrazów. Mam nadzieję, że się to wszystko da ułożyć, — w gruncie nic nie mam przeciw temu, — tymczasem wszakże powinieneś pan przestać bywać, inaczej bowiem obgadają mi dziewczynę.

Dylemat leżał jasno jak na dłoni: albo musiał ożenić się z Franquilliną, albo patrzeć na to, jak ją zaślubi doktór Rocco.

Jeden z przyjaciół w klubie, którego ten najbardziej zrozpaczony z wszystkich Romolów pod słońcem spytał o radę, rozśmiał mu się w nos i oświadczył wręcz, że to był straszliwie kłopotliwy dylemat. A potem wybuchnął śmiechem na nowo;— i Romolo śmiał się również, ale wieczorem płakał jak dziecko.

W pół roku potem doktor Rocco, wyleczony jak najkompletniej, objeżdżał wraz z swą młodą małżonką koleją wszystkie sto miast Italji a Romolo, tworzył elegje na grobie swej miłości.

Jeśli zaś gdziebądź spotkał jasnowłosą jak kłos pszeniczny dziewczynę, zawsze przechodziła mu na myśl czarna kosa Franquilliny i — został starym kawalerem.

— Doktor Rocco nazywał się Trombetta?— spytał Gioachino.

— Trombetta — westchnął Romolo.

— W takim razie — na nieszczęście poznałem go.

— Na nieszczęście?

— Na jego nieszczęście. — Spotkaliśmy się obaj w Genui, gdzie pułk jego stał garnizonem. Przyszło między nami do pojedynku.

— Szczególniejszy przypadek!

Romolo pobladł.

— Uspokój się, ciągnął dalej tamten, — nie widziałem nigdy pani Trombetta.

Pani Trombetta! Gioachino uśmiechnął się wymawiając to nazwisko, które rozgłośnem echem odzywało się w starem sercu Romola.

— Jakże to było z tym pojedynkiem?

Rzecz arcy prosta: Gioachino i Rocco spotkali się w jakiejś kawiarni. Rocco utrzymywał o jakiejś rzeczy, że jest czarną, podczas gdy Giochino przyznawał jej śnieżną białość; ten ostatni wypowiedział mniemanie swoje otwarcie ale bez najmniejszego gniewu lub uniesienia, nie zależało mu bowiem ani trochę na tem, by przekonać przeciwnika. Ten wszakże upierał się przy swojem, i dla tego pan Poma oświadczył, że mu pozostawia na własność wszystkie kolory tęczy, niech robi z niemi co mu się podoba.

Na to zaperzył się doktór, począł się ciskać,

złościć. Gioachino nigdy w życiu nie miał pojedynku, jakkolwiek powszechnie wiadomem było, że był mistrzem w fechtunku, dla tego też z całą zimną krwią oznajmił swemu przeciwnikowi, że stoi do jego dyspozycji. Doktor Trombetta pobladł jak wapno ścian, bo tego nie spodziewał się zupełnie, ale mimo to nazajutrz przysłał swych sekundantów. Bili się na szable, a że absolutnie jeden drugiego musiał obdarzyć cięciem, Gioachino więc opatrzył niem ramię swego przeciwnika.

Wszystko to opowiadał on tak swobodnie, od niechcenia, nie zwracając nawet uwagi na przerażenie, jakie ten czyn bezprzykładnie bohaterski wywołał na twarzy Romola.

— Cięcie wszakże było nieco za głębokiem — ciągnął swe opowiadanie Gioachino, bo doktor przypuszczał nawet, że postrada w zupełności ramię i formalnie rozgniewał się na młodego lekarza, który próbował go pocieszać bandażując ranę.

— A ty? — spytał Romolo przelękły.

— Ja uścisnąłem mu drugą rękę; sekundanci oświadczyli, że zostało zadość uczynionem wymaganiom honoru i na tem koniec. Następnie opuściłem Genuę, nie jestże to jakby kartką z romansu?

— I nie wieszże czy rzeczywiście postradał ramię?

— Nie — wybąknął Gioachino; — zapomniałem się o niego dowiedzieć, to było brzydko z mojej strony, przyznaję.

— Tak, to było niedobrze.

Nastąpiła chwila obustronnego milczenia. Gioachino przerwacał się na łóżku i oczekiwał niecierpliwie na zdanie swego przyjaciela; ale przyjaciel milczał, myślał o doktorze Rocco i Tranquillinie.

— Jeśli ktoś nazywa się Trombetta*) nie jest przeto jeszcze upoważnionym do bezustannego wrzeszczenia — wybuchnął wreszcie Gioachino — bo cóżby robił dopiero gdyby nosił nazwisko: Trombone? **) Sądzę, że zasłużył najzupełniej na tę nauczkę. Ale szczerze mówiąc, gdy o tem myślę, żal mi, że to ja właśnie dać mu ją byłem zmuszony; cóż przecież na to poradzić! Koniec końcem jego w tem wina jeśli utracił rękę, mógł jej strzedz lepiej.

Romolo nic nie odpowiedział i Gioachino przewrócił się na drugi bok.

Tej nocy paliło się w ich pokoju światło do rana, bo obu im jakoś nie udawało się zasnąć. Nad ranem zasnęli przecież, ale Gioachino śnił o doktorze Rocco z ręką na temblaku a Romolo we śnie widział Tranquillinę we łzach.

Tydzień ubiegł od owej nocy tak obfitej w zwierzenia. Obaj nierozłączni przechadzali się wedle zwyczaju tam i nazad długim pasażem; mały Gioachino daremnie silił się na to, by cienki jego głosik doszedł ucha długiego, wiecznie roztargnionego przyjaciela, nagle przecież stanął jak wryty; Romolo tymczasem podejrzywając, że to fortel obliczony na ściągnienie jago uwagi, kiwnął tylko głową i szedł dalej spokojnie. Ale Gioachino ani się ruszył; nieruchomym wzrokiem poglądał na przechodzącą obok nich parę: kobietę lat może pięćdziesięciu, idącą pod rękę z mężem nizkim, grubym i wyżółkłym.

— Doktor Rocco! — zawołał Gioachino.

*) *Trombetta:* znaczy trębacz, w przenośni zaś: gaduła.

**) *Trombone:* puzonista, w przenośni: blagier, chełpliwy. (Przyp. tł.)

Tocząca się kula zatrzymała się w biegu, popatrzała przez chwilę na maleńkiego człowieka, co wymówił jej imię i wreszcie zawołała z kolei.

— Wszechwładny Eskulapie! Czy ja się nie mylę, toż pan jesteś — tak, rzeczywiście — to pan Poma? Nie mało już latek ubiegło, ale ja pana nie zapomniałem — i zwracając się do żony dodał: patrz, to ten, co mnie to w Genui poczęstował takiem strasznem cięciem.

Szczególniejsze to przedstawienie w zupełności pozbawiło pana Pomę wrodzonego mu kontenansu, co gorsza, słów nawet; zrobił niezgrabny ukłon i obejrzał się dokoła jakby szukając utraconej krwi zimnej, daremna!...

— Ręka już była mi nieużyteczną — ciągnął doktor Rocco, próbując daremnie poruszyć okropnie pokurczonem *corpus delicti* — odmówiła mi posłuszeństwa. Przeciąłeś mi pan żyłę.

Gioachino zebrał całą odwagę i przywołał przyjaciela, który jak skamieniały nieporuszenie stał przypatrując się grupie z podziwem.

— Romolo, przyjdźno!

Romolo przystąpił; serce biło mu gwałtownie.

— Romolo, wszakże ty znasz doktora Trombettę!

A potem zwrócił się do starego doktora: — Mój przyjaciel pan Affoni.

Ale przyjaciel zawstydzony niepewnym wzrokiem powiódł dokoła i zarumienił się poczuwszy na sobie wzrok Tranquilliny.

— Zdaje mi się, ale nie wiedziałem... — mruknął doktor cokolwiek zmięszany.

— Ależ Rocco — ozwała się Tranquillina— toż pan bywał w domu nieboszczyka mego ojca, musiałeś go przecież widywać.

Rocco przecież nie przypominał sobie, lub też nie chciał przypomnieć, a biedny Romolo szczerze był mu za to wdzięcznym.

To spotkanie bardzo przyjemne zrobiło wrażenie na doktorze Trombetta; i powiedział też to otwarcie Gioachinowi, nie był bowiem bynajmniej takim egoistą, by się nie dzielić radością z innymi.

— Nie uwierzysz pan, jak mi wielką zrobiłeś przyjemność, jeszcze w tej chwili żywo mi jest obecnym ten czas — i sztywnem ramieniem próbował daremnie przybrać pozycję fechtunkową — tak, uobecnił mi się ten czas, gdziem był bogatszy o jedną rękę a uboższy o podagrę, bo teraz mam i podagrę. Opatrzność ma jak wiadomo swe kaprysy, a jeśli już kogo zaszczyci swemi względy musi dlań być wielce dobrotliwą i szczodrą. Przecież nie sposób chyba porządnemu człowiekowi wyświadczyć większego dobrodziejstwa jak odciąć mu nogi, gdy go się już poprzednio pozbawiło ręki! Cóż wy na to, moi panowie? Mnie to tak obdarowała opatrzność!

Wymówił te słowa podniesionym głosem.

Gioachino bał się odetchnąć a Romolo ukradkiem przypatrywał się Tranquillinie, która zdawała się nieco zmęczoną ale spokojną i swobodną.

— Odwiedźże mnie, kochany panie! Odwiedź swego inwalida; a i pan, proszę! Obaj będziecie nam miłymi gośćmi, mieszkam na *Via della Cerva* Nr. 11. Nagadamy się z sobą dowoli, wieczorem nie wychodzę nigdy, podagra nie znosi wilgotnego powietrza. Powiedźcie mi proszę cobądź, co by znosiła podagra? No, cóż dobrze *Via della Cerva* Nr. 11. Czekam panów.

Obaj przyjaciele przez chwilę stali nieporuszenie poglądając za odchodzącym.

— Gioachino — szepnął nakoniec Romolo — o czem ty myślisz?

— Myślę o nieszczęśliwym doktorze. On taki słaby zmieniony! Ja może stałem się przyczyną wszystkich jego cierpień!

— Przecież tobie nie zawdzięcza podagry?

— Podagry nie, ale ręka, czyś ją widział? Od lat dwudziestu nie może nią ruszyć, to okropne!

Szczęściem miał poczciwą naturę, co się oburzała na wszelką niesprawiedliwość, choćby on sam był jej sprawcą.

— A to był raz okropny! Dziś go pamiętam jeszcze, jakby to było wczoraj, kwarta pyszna kwarta, ot tak z dołu w górę, ledwiem go dotknął, ale bo też straszliwą miałem zawsze siłę w ręku!

Ale Romolo nie słuchał, on przez ten czas przynajmniej ze sto razy powtórzył w duchu:

— Ona dziś jeszcze jest piękną!

Doktor Rocco nie ustawał nigdy w pół drogi; gdy go dwaj nierozłączni po raz pierwszy odwiedzili zrobił im formalne wyznanie. Oznajmił, że niebieskie miłosierdzie nie poprzestało u niego na podagrze, lecz co więcej uznało za słuszne opatrzyć go kurczem żołądka, cierpieniem wątroby i mlecza; a gdy jak sądził, przekonał swych gości, że w nim mają okaz wybrańca opatrzności to jest uosobioną kliniką, zaprosił ich jak najuprzejmiej do stołu.

Przy jedzeniu rozpoczął znowu rzecz całą od początku. Obaj przyjaciele usiłowali sprowadzić rozmowę na rzeczy mniej odejmujące apetyt, wszystko nadaremnie; każda potrawa, którą podano, była szkodliwą lub nie dla tego albo owego organu; doktor Rocco zaś nie miał takiego organu, nad którym by się nie zmiłowała opatrzność, miał więc dosyć powodu każdej innej powstającej rozmowie natychmiast przeciąć wątek.

Goście wreszcie zrobili to, co powinni byli zrobić od samego początku, nie słuchali już tego co mówił.

Obaj podziwiali Tranquillinę jak wdzięcznym jakimś żartem zawsze umiała uniewinnić nieznośnego swego małżonka. Wówczas ukradkiem spoglądał Gioachino na Romola a ten spuszczał skromnie oczy w talerz.

Naraz zawołał doktor:

— Tranquillino! Nie mam już chleba, bądź tak dobra ukrój mi kawałek, bo sam tego nie dokażę.

W rzeczy samej daremnie silił się przytrzymywać chleb bezwładną ręką, probując krajać go lewą.

Gioachino nie wahał się ofiarować mu swe usługi a doktor odparł z szczególniejszym uśmiechem:

— Ładnie to z pańskiej strony. Zwykle pomaga mi w tem Gabriella ale dziś jest właśnie na obiedzie u jednej z swych koleżanek. Dziękuję ci, dziękuję, kochana Tranquillino! — zawołał pieszczotliwie, zwracając się do żony — pozwólże temu panu trochę popracować na mnie, niechaj to będzie jego karą. Ktoby to był kiedy myślał?

I uśmiechnął się zadowolniony podczas gdy Gioachinowi biło serce.

— Tranquillino — zawołał znów po chwili— Tranquillino, spadła mi serweta!—A gdy poczciwa kobieta schylała się by ją podnieść, wymówił wzruszony: — To perła!

Teraz z kolei serce Romola uderzyło gwałtownie.

Ilekroć nieszczęśliwy w cichym zachwycie

*

pojrzał na tę, co mogła być jego Tranquilliną, doktor Rocco, jakby z umysłu, wołał: Moja Tranquillino!

Jeśli u stołu nie było zbyt wesołe, swobodny wieczór wynagrodził to w zupełności. Naprzód doktor Rocco, który nie znał co to zazdrość w małżeństwie, udał się na zwykłą poobiednią drzemkę; Romolo zaś, wspierany przez Gioachina użył tej sposobności do zawiązania rozmowy z Tranquilliną, wprawdzie rozmowa ta była krótką i dotyczyła wielce obojętnych rzeczy, dla niego przecież była to najdźwięczniejsza muzyka. Nakoniec zbudził się doktor Rocco, a wraz z nim niemal weszła do salonu Gabriella, „najpiękniejsza w świecie dziewczyna."

Kiedy wreszcie powrócili do samotnego swego mieszkania, Romolo, jak łatwo pojąć, wzdychał ciężko, ale, co już pojąć daleko trudniej, wzdychał i Gioachino.

— Doktor Rocco — mówił on — jest w gruncie najpoczciwszym człowiekiem, ale jest starym i słabowitym tak, że tylko litość budzić może. Jego rękę mam na sumieniu i nie mogę sobie tego darować. Gdyby mi kto był powiedział wówczas, że pierwszy mój pojedynek spowoduje mi pierwszy wyrzut sumienia, doprawdy nie byłbym go nigdy wyzwał, bo, jak wiesz, dawniej byłem dość zapalny, aleć zawsze nie tak znów jak doktor.

— Tak, w gruncie to zacny człowiek,— wymówił w roztargnieniu Romolo.

— A córka jest urocza.

— To najpiękniejsza w świecie dziewczyna, bezspornie! — odparł przywołany do przytomności Romolo.—Istny obraz matki, gdy była w jej wieku; ah! jej matka dziś jeszcze jest piękną!

W tej samej chwili doktor Rocco mówił do żony:

— Pan Poma jest wcale przyjemnym człowiekiem, ale ten twój Affani to długie uosobione westchnienie *) jest mi nieznośnym. Przypatrz się teraz jakiego milego miałabyś męża gdybym ja temu nie był przeszkodził! Dotąd przechowuję jak relikwję znakomity jego sonet, który się rozpoczyna tak, poczekaj: „Kruczem skrzydłem włos twój..." a dalej?

— „Lilja twe czoło" — uzupełniła Tranquillina z filuternym uśmiechem — ale dziś noc wilgotna, kładź się spać! (C. d. n).

*) *Affano* — westchnienie. (Przyp. tł.)

Piśmiennictwo polskie.

(*Maciej Głoskowski, matematyk polski XVII wieku. Skreślili Jan Nep. Franke profesor szkoły politechnicznej we Lwowie i Antoni Jakubowski p. o. kustosza Biblioteki tejże szkoły. Kraków. W drukarni Uniw. Jagiel. 1878.*)

Kiążeczka drobna, ale treść zajmująca i stanowiąca ważny przyczynek do historji nauk ścisłych w Polsce. Historja nauk, pielęgnowana i rozwijana starannie na Zachodzie, u nas znajduje się w stadjum pierwotnem. Zaledwie parę znakomitych i ogólnie uznanych postaci, opracowane w sposob naukowy z resztą całego i wyczerpującego obrazu działalności polskich uczonych i ich udziału w posunięciu nauk ścisłych naprzód, nie ma. To też każdej nowo przybywającej pracy w tym kierunku należy się jak największe uznanie, a to tembardziej, że połączoną ona jest z wielkiemi trudnościami i niewygodami. Chcąc historycznie opracować jakiegoś uczonego dawnych czasów, trzeba szperać po najrozmaitszych bibljotekach, porównywać zawiązać obszerną korespondencję a często rezultat okazuje się bardzo małym i niepokaźnym.

Książeczka, o której mówimy, zajmuje się przeważnie książką niepodpisaną przez autora mającą tytuł „Geometra peregrinans", zawierającą w sobie obok djalogu prowadzonego w sposób średniowieczny między dwiema siostrami: Geometrją i Arytmetyką które z Zachodu przybywają do Polski, i tam zaznajamiają się z pewnym „gospodarzem" zajmującym się matematyką, który im przedstawia swoje prace. Znajdujemy tam rozwiązanie wielu zagadnień przeważnie większych, rozwiązania nowe i wykazujące wielkie zdolności matematyczne autora czyli owego „gospodarza„ z djalogu, który jest nie kim innym jak Maciejem Głoskowskim. Rozwiązania te nie pozostały w ukryciu i zwróciły na siebie uwagę uczonych matematyków współczesnych. Uważano je za nowe i trudne. Znakomity geometr holenderski, Schooten, wspomina o nich z uznaniem. Głoskowski robił obok tego liczne spostrzeżenia astronomiczne według wybornych i postępowych metod i należy on „do pierszych naszych uczonych, którzy systematycznie pracowali nad wykonaniem mapy Polski." Na końcu rozbioru prac Głoskowskiego znajdujemy krótki jego rys biograficzny.

Sposób pisania rozprawy jest nadzwyczaj jasny i treściwy i wywody poparte licznemi przypiskami a czytając ją nabyliśmy przekonania, że szanowny autor posiadający wielką erudycję i zmysł krytyczny obok dokładnej znajomości nauk ścisłych, najodpowiedniejszym byłby do zapełnienia luki w naszem piśmiennictwie, do napisania historji nauk ścisłych w Polsce. Wiemy że na to czasu wiele potrzeba i wiele żmudnej a często bezowocnej poszukiwawczej pracy -- bo nie ma się co spieszyć. Poczekamy. *B. A.*

Piśmiennictwo zagraniczne.

(*Dokończenie*).

Pominąwszy małe przerwy, ciągnie się ten pas okolic przechodowych dokoła centralnej Azji pomiędzy obszarami bezodpływowymi, a wieńcem urodzajnych, obficie nawodnionych okolic wybrzeżnych. Spotyka się tu dwojakiego rodzaju przechody: jedne, gdzie stepowe okolice, mające już odpływy, nie straciły jednak jeszcze swego stepowego charakteru i zamieszkane są przez koczowników; drugie, które stały się już bezodpływowemi, ale mają jeszcze stałe osady i przydatne są do uprawy.

Jako przykład pierwszego rodzaju okolic przechodowych przytacza Richthofen źródłowisko rzeki *Hwang-ho*, gdzie znajduje się jeszcze kilka małych bezodpływowych jezior. Do tego rodzaju okolic należy także źródłowisko rzeki *Yang tse*. Powiększająca się kotlina jeziora *Khukhu*, którą niedawno zwiedzał Przewalski, zawiera o wiele mniej soli, okrytą jest bujnemi łąkami i zapewne wkrótce już przemieni się w okolicę odpływową. Tak samo ma się rzecz i z jeziorem *Tengri*. Zbadanie zawdzięczamy młodemu jego Tybetańczykowi, którego pułkownik Montgomerie, jak kilku innych, po należytem przysposobieniu do Tybetu wysłał. Na szczególniejszą jednak uwagę zasługuje wysoko położone źródłowisko płynących w przeciwnych kierunkach rzek Bramaputry i Indu, które sprowadzają wody z kotlinowatej wyżyny wypełnionej grubą warstwą gruzu górskiego przykrytą z wierzchu lösem. Jeziora na gałęziach górnego Indu, jak utrzymują Cunnigham i Schlagintweit, musiały być niegdyś o wiele większe. Obaj ci podróżnicy utrzymują, że zostały one powoli zasunięte namułem. Richthofen zbija to zdanei i upatruje przyczyny umniejszania się tych jezior w zmianie stosunków klimatycznych. Znajdujące się dotąd w zachodnim Tybecie jeziora stepowe, są według jego zdania resztkami większych jezior, z których kilka miało odpływy; w dawnejszym, suchym okresie były te jeziora jeszcze mniejsze i kotlina, którą dziś Ind przepływa, składała się z kilku bezodpływowych kotlin. Obszar dorzecza górnego Inda przekształcał się więc dotąd trzy razy. Podobnież i na wyżynie *Pamir* i w górach *Tien-shan* znajdują się znaczne obszary zasypane gruzem górskim i lösem, które świadczą o tem, że niegdyś musiał tam być klimat o wiele suchszy, a przeciwnie dzisiejsze łożyska wód przekonywają, że później miały one obfity opad.

Także na północnych stokach centralnej Azji rozpościerają się takie okolice przechodowe, a mianowicie na północy Mongolii nad górną Selengą, Ononem i nad źródłowemi gałęziami Amuru. Wykazali to dowodnie Radde, Wenjukow i Pumplley.

Dwa ostatnie rozdziały tej części dzieła poświęcone są opisaniu „budowy gór centralnej Azji" z szczególnem uwzględnieniem orograficznych stosunków Chin. Richthofen rozróżnia zgodnie z Humboldtem w plastyce Azji centralnej sześć systemów gór, które wznoszą się z opasujących je wyżyn, bogatych okolic dzikiemi martwemi skalistemi wałami.

Według jego zdania góry *Kwen-lun* są ze wszystkich najstarsze. U południowej ich kończyny wzbiły się powoli rozmaite pasma systemu Himalajów. W niezrównanie dzikim wyłomie Karakaszu przez góry *Kwen-lun* występują na przestrzeni 20 mil geogr. najdawniejsze łupki krystaliczne i paleozoiczne skały, na których spoczywają wapienie formacji węglowej.

Rozległy obszar pomiędzy południowem podnóżem *Kwen-lun* a równiną indyjską zatopiony był morzem w okresie węglowym i w drugiej połowie okresu trysowego, i tylko porozrywane szczyty sterczące jak wyspy, zapowiadały przyszłych olbrzymów. Ale już w okresie trysowym poczęło się podnoszenie systemu Himalajów, chociaż jeszcze w czasie formacji kredowej były w Himalajach wielkie zatoki morskie. W tym okresie wznosiło się morze jeszcze po północnej stronie gór *Kwen-lun* do 2000 m. W okresie eocenu zamykały Himalaje z krajem po północnej stronie górnego Indu wzniesionym zatokę, w której osadziły się warstwy do 5000 stóp grube.

Oba systemy Himalajów i Kwen-lun łączą się na zachodzie w potężny trzon górski, ale ku wschodowi rozchodzą się i rozdzielają wyniosłą wyżyną, zwaną zwyczajnie Tybetem, która na mapach Richthofena nosi nazwę wyżyny Khor. Na wschodzie od tego systemu obejmują pasma ciągnące się od południowego-zachodu ku północnemu-wschodowi ogólnem mianem gór chińskich, a już prawie zupełnie w kierunku południków spiętrzają się góry Indyj zagangesowych. Dr. Stoliczka rozróżnia w tych górach pięć stref geologicznych. Pierwszą strefę tworzą przedgórza z młodych osadów, ze szczątkami bardzo ciekawych ssaków, ułożonych na starszych pokładach. Druga strefa zbudowana jest z gnajzów i może być uważana za główny grzbiet gór. Trzecia

złożona jest z różnych skał i spiętrzona jest najwyższymi szczytami. Po tej następująca strefa składa się znowu z krystalicznych łupków, a piąta ze skał numulitowych.

Po tych następuje system gór *Tien-shan*, tj. gór niebieskich Chińczyków, które z systemem *Karatau* czyli *Altaju* zupełnie są zrośnięte. Jak wydłużony klin zaczyna się *Tien-shan* na wschodzie, ku zachodowi rozszerza się jednak coraz bardziej, łącząc się na południu z coraz liczniejszemi pasmami równoległemi, a na północy z łańcuchami *Karatau*. Długość tego systemu gór wynosi 1380 mil geogr., ale granica jego zachodnia nie daje się ściśle oznaczyć i wydłużone odnóża wybiegają aż do perskiego morza. Pasmo gór *Hindu-Kush* należy uważać za część tego systemu.

Plaskowyż *Pamir*, dach świata, olbrzymi dział wód pomiędzy rzeką Tarym a Amu, zalicza Richthofen zgodnie z inymi badaczami do systemu Himalajów.

Dla rozwoju rodu ludzkiego miały, według zdania Richthofena, szczególnie ważne zaczenie wielce urozmaicone okolice w zachodniej części *Tien-shan*, gdzie równoległe pasma tych gór ku równinom opadają, a łączące się z nimi łańcuchy Karatau w północno-zachodnim kieruku biegną. Okolice te osłonięte górami zachęcały do osiedlania się, szczególnie w tym okresie, w którym morze diluwialne od Pontu daleko na wschód się rozpościerało i dzisiejsze ekstremy klimatu łagodziło. Gliniaste gleby, które dziś są puste i suche, gdzie ich nie zasila wilgocią sztuczne nawodnienie, były wtedy bujnemi łąkami. Te okolice uważa Richthofen za kolebkę rasy aryjskiej. Zmienione stosunki klimatyczne po usunięciu się morza powstrzymały potężne niegdyś państwa nad rzekami Oksus i Jaksartes w ich rozwoju; wzmagająca się posucha, hordy koczowników, które spadły na wynurzone z morza równiny, zagroziły ich byt, a w końcu zmusiły ich mieszkańców do szukania sobie nowych siedlisk. Jak fale wezbranej rzeki płynęły ludy ku krańcom gór, wlewając się pomiędzy osiedlone tam ludy, i dowodzi to potężnej siły żywotnej aryjskiego szczepu, że potrafił do dzisiaj utrzymać się w *Tadżikach* perskich, chociaż tyle razy mieniał władców. Najezdnicy zmieniali zawsze po krótkim czasie tryb życia koczowniczy, przyjmowali cywilizację podbitych ludów, utrzymywali się wieki i bywali przez nowy napływ ludów aż do nieznacznych resztek wyniszczani, albo dalej na południe wypierani. Każda powódź pozostawiała po sobie pewien osad i tem to się tłómaczy, dlaczego do dzisiaj Turkiestan zamieszkany jest przez taką mięszaninę ludów. Tak rozpatrywanie orograficznej budowy jakiegoś kraju z wyższego, filozoficznego stanowiska prowadzi do wniosków geograficzno-historycznych największej wagi.

Pierwotne siedliska Chińczyków przenosi Richthofen w kotlinę rzeki Tarym pomiędzy góry Tien-shan i Kwen-lun i śledzi rozwoju ich cywilizacji w pochodzie na wschód ku rzekom Hwang-ho i Wei.

Druga większa część dzieła poświęcona jest badaniu, jak się rozwijała znajomość Chin; ocenia on w niej stare chińskie geografie państwa, poczynając od księgi *Yükung*, obejmującej okres czasu od 2357 do 720 przed Ch., której ułożenie przypisują Konfucyuszowi.

Zawiodłoby to nas za daleko, gdybyśmy chcieli podawać tutaj, chociażby w najkrótszem streszczeniu rezultaty badań Richthofena na tem polu. Kończymy więc to pobieżne sprawozdanie, polecając jak najgoręcej pomnikowe dzieło Richthofena wszystkim miłośnikom geografji.

L. T.

KRONIKA TYGODNIOWA.

Rossi, Król Lear, odczyt, Makbet, florentyński kwartet, wiosna, szynki na placu bernadyńskim, laurowy wieniec, uczta, krzesło Nr. 284, kwesta, panna Bet i wrażenia, wrażenia, jeszcze raz wrażenia — oto jest bogactwo repertoaru do kroniki, oto są fakta, które jak nudni przyjaciele cisną się pod pióro dla uszczęśliwienia czytelników Tygodnia. A wszystko to udało się przewybornie, zdaje mi się, że lepiej od bab wielkanocnych, choć nie mieliśmy tak dobrych drożdży jakie n. p. sprzedaje p. Bałłaban przy Halickiej ulicy.... Oj te drożdże, czyli inaczej mówiąc pieniądze, ile one sprawiają utrapień, kiedy ich nie ma!.... wprost przeciwnie niż żony! Mój Boże kochany, ile to w ubiegłym tygodniu można było mieć umysłowych biesiad, gdyby nie te pieniądze. I dla oczu i dla uszu, i dla wszelakiego smaku i dla najlepszych intencji, tyle było okazji, — a tu na złość święta, brak kredytu i powszechna golizna. ..

Czytasz na afiszu: dwanaście reńskich loża, krzesło cztery.... jak tu się puścić na takie zbytki wobec wołania małżonki że święta idą, wobec delikatnych przymówek dam kwestujących, wobec Szegedynu, wobec bursy dla seminarzystów, szpitalika św. Zofii, c. k. kalek z wyprawy do Bośni i tylu innych stowarzyszeń sącotłoczących Trzy dni namyślałem się czy zobaczyć Rossiego czy nie? Nareszcie zdecydowałem się dla dobra czytelników moich zrobić ofiarę z kwoty fl. 1 centów 60 i przy pomocy pewnego przyjaciela różnych przyjaciół personału teatralnego — przy ożywionej konferencji dwóch kasjerów teatralnych, otrzymałem miejsce na parterze oznaczone Nr. 284.... Miano grać Króla Leara czyli Lira, — ja już od rana dnia tego czytałem pana Szekskpira tak zawzięcie, że prócz małej notatki wskazującej porządek scen idących za sobą, byłem o godzinie 7mej wieczór kompletnie *nalirzony*.

Wpadam na parter — ciemno jak podczas urzędowej pełni na ulicach Lwowa, jednak odszukuję ławkę, gdzie powinien być mój numer Jakaś dama czarności Kroata i tuszy przynajmniej dwóch kobiet w jednym rembrantowskim kapeluszu z jednej strony, a podwójna baryłka kleinowskiego piwa ubrana w szaraczkowy surdut z drugiej strony, zaanektowali kompletnie moje 284 krzesło. — Nu, niech pan *szada* — mówi imość zbierając trochę fałdów swej sukni.... I owszem, proszę — dodaje drugi sąsiad poruszając głową, a miejsca jak nie było, tak nie ma. Lecz czegoż nie zrobi człowiek dla zobaczenia orła tragedji za swoje reński centów sześćdziesiąt! więc i sługa wasz przemienia się w szrubę, i nie zważając na skrzypienie materjału, gwintuję się między te dwie elastyczne massy: prę, prę całą siłą, póki nie poczuwam jakiegoś gruntu pod sobą... Chwała Bogu. już siedzę; wprawdzie bez rąk, lecz co mi po rękach na przedstawieniu Szekspira, aby oczy i uszy były wolne, tego dosyć. Niestety, drugie tylko zostały w towarzystwie trzech innych zmysłów, lecz oczy moje zobaczyły o kilkanaście cali przed sobą słup szeroki, czworograniasty, słup podpierający galerję pierwszego piętra, słup zastępujący mi scenę. — Kurtyna się zwija do góry.. ciemność się zwiększa, słyszę szmer uwielbienia do koła, oklaski się sypią, a ja niby ta mysz uchwycona pół ciałem w łapkę, przekręcam głowę tu i tam i widzę z prawej strony kawałek nogi pazia klęczącego z mappą przy tronie, a z lewej ogon zielonej sukni zapewne której z córek Lira i dwóch paziów niezdecydowanej płci, którzy czy które strzelają figlarnie oczkami do krzeseł....

— Jak Boga kocham, wypadł jak lew! — mówi do siebie antałek piwa....

— Jak lew, powiadasz pan — rzeknę na to, a chwyciwszy się oburącz owego słupa, wysuwam figurę moją z sąsiedzkich kleszczy....

— Co to jest? hamuje zapały moje sąsiadka szarpiąc mię bez ceremonji za połę surduta — Czy pan swieca? proszę *szadać*...

Zwracam głowę na lewą stronę słupa i ledwiem rzucił okiem na posiwiałego Lira zirytowanego na Kordelię, gdy sąsiad bez ceremonji ciekawy nos mój sprowadza do porządku....

Nie ma rady: słup nie chce się usunąć, więc robię się znów klinem i włażę dobrowolnie w te ciepłe dalibog nieco zaciepłe kleszcze. Sceny się zmieniają, ja wszystko to sobie przebiegam pamięcią, słyszę w różnych tonach ijo, mio, contrasto, experienza, non amanto,... pervenire, tutto novo.... i zdaje mi się porywam już włoszczyznę — a tu słup!. Przez cały akt raz tylko jeden zobaczyłem Glostera w spodnicy i aksamitnym ornacie, raz końce palców samego króla... Moja dama aż wysadziła oczy naprzód. sąsiad tylko nogą przytupuje i wali brawa w swoje tłuste jak poduszki łapy, w mej duszy odgrywa się daleko rozpaczniejsza tragedja człowieka siedzącego w kleszczach za słupem i to po zapłaceniu zlr. jeden centów sześćdziesiąt. Dalibóg, nigdy dotąd nie czułem w sobie żadnych rewolucyjnych usposobień, ale spojrzawszy na loże parterowe, w których ludzie posiadający 12 zlr. do dyspozycji rozkładali się z lorynetami w ręku i patrzyli twarz w twarz bez pośrednictwa słupa królowi Lirowi, taka mię zawiść napadła do wszystkich klass posiadających, że gotów byłem w tej chwili przystać do socjalistów, nihilistów, komunistów, przemienić się w Samsona, i dopadłszy owego słupa zasłaniającego mi widok, potrząść nim tak, aby pogrzebać wspólnie cały teatr i tym sposobem ulżyć mej wściekłości.

Jakkolwiek na dalsze akta, zdołałem wydobyć się z kraju ciepłej niewoli na otwarte miejsce, to dusza moja tak była wzburzona niesprawiedliwością losu i głupotą budowniczego, że obłąkanie starca, sarkazmy błazna królewskiego, niewdzięczność córek i synów, sprowadziły umysł mój na manowce rozmyślań porównawczych z tem, co się dziś na świecie dzieje, i wyrodziły zapytanie, dlaczego to królowie teraz nie trzymają nadwornych błaznów, którzyby mieli śmiałość rżnąć im prawdę i o nic nie pytać. Straciwszy ciąg sztuki i następstwo scen, do samego końca zapomniałem sąsiadkę, że będzie jeszcze operacja wybierania oczów Glosterowi, której wszakże jak wielu innych nie było.

Zauważyłem, że i ci sąsiedzi moi, nie byli zadowolnieni z przedstawienia: pani powiada, że to jest niegodziwością autora, aby pozwolić zabijać jedną poczciwą córkę, taką Kordelię, a pan tylko zaciskał pięście, gdy córki królewskie zapewniawszy swej godności, kłóciły się z ojcem jak nieprzymierzając krakowskie przekupki. „Ja, panie dobrodzieju, nie jestem królem, tylko sobie obywatelem miasta Lwowa, i nie mam rycerzów z halabardami ale czeladników — jednak gdyby mi tak Marcysia moja wyjechała z taką gębą, to panie

dobrodziejstwu rznąłbym, jak mi Boga trzeba przy skonaniu, zamalowałbym ją co ha!

Otoż kochani czytelnicy macie sprawozdanie profana z za słupa z przedstawienia króla Leara i próbkę tego mięsa, które się jada za tanie pieniądze Zostawiając tedy specjalnemu recenzentowi pole do popisów i uniesień nad tym orłem wśród innych orłów tragicznych dodam, że na przedstawieniu Makbeta, artyści sceny naszej ofiarowali Rossiemu wieniec z orzełkiem białym i niestósownym napisem, że potem urządzili dla niego ucztę przyjacielską w hotelu Żorża, na której bawiono się wybornie, że szanowny maestro zachwycony był uprzejmością i skromnością swoich kolegów w sztuce, którzy zamiast zazdrości artystycznej, jakto gdzieindziej się zdarzało — bez wahania oddali mu berło pierwszego tragika.

Wśród tyle powszechnego zajęcia się Rossim, nic dziwnego że wszystkie inne sprawy, a nawet sławny kwartet florencki zeszły na drugie miejsce. Jeden tylko ruch przedświąteczny nie tylko nie ustąpił, lecz przeciwnie pozajmował wszystkie rozporządzalne place w mieście, aby na nich porozkładać moc ogorzałych wieprzowych członków przeznaczonych na zjedzenie. Pokazuje się, że człowiek samemi tylko wrażeniami żyć nie może, a nawet przeciwnie działają one wzmacniająco na żołądek. Żydkowie tylko, którzy już zasiedli na święta, chodzą jak struci przed korzennemi sklepami widząc jakie to tłumy roją się tam kupujących wtedy, gdy oni swoje budy musieli pozamykać. I to się nazywa równouprawnienie obywateli galicyjskich — mówią do siebie z goryczą. Jestem przekonany, że gdyby mieli np. takiego Naumowicza swego, wystąpiliby przed Radą Państwa o krzywdy wyrządzane im bezkarnie przez katolików, i wymogliby nową ustawę, aby podczas ich świąt sklepy katolickie także musiały być pozamykane. Wszak żydzi teraz wszystko mogą!

Gdy mowa o świętach, przychodzą na myśl owe tradycjonalne kwesty pięknych pań i panów fatygujących się do wszystkich mieszkań i biór publicznych dla celów dobroczynnych. Gdzieindziej zwyczaj ten zastąpiony został zbieraniem składek przez właścicieli domów, przez zapisywanie się lokatorów na przygotowanych listach — u nas wszystko jeszcze idzie po staremu, i lustracja prywatnych mieszkań, a z nią i pewna pressja dobroczynna nie ustaje. Zdaje się, że czas już byłby dać pokój tym eksperymentom wyciskania datków częstokroć od ludzi biedniejszych niż ci, dla których się zbiera. Żadne miasto i żaden kraj może nie daje tyle składek na różne dobroczynne cele co Lwów i Galicja, i to śmiało powiedzieć możemy nad możność, zatem nie turbujcież ludzi w ich prywatnych mieszkaniach i nie żenujcie biedaków przez odbywanie publicznych lustracyj. Gazeta Lwowska niedawno ogłosiła bilans własności nieruchomej całego kraju, z którego pokazuje się, że dość zawiązania się spółki trzech dobrych bankierów zagranicznych, aby nas z duszą i ciałem zakupić. Od lat sześciu zaciągają się długi tylko na zapłatę procentów od dawnych zobowiązań... A co to będzie za lat dziesięć, jak już nie będzie na co pożyczać? Przejdziemy na nihilistów, to jest takich, co już nic nie mają... i rozboju się nie boją... Więc i przy wymaganiu ofiar dobroczynnych trzeba być oględnymi i nie wyciągać datków na sprawy pozakrajowe jak wsparcia dla c. k. kalek i sierot z ostatniej wojny w Bośnji, o których przecież Rząd pamiętać by powinien, a na których złożyliśmy przeszło 46.000 zł.

* * *

P. W. Wysocki zaszczytnie znany nauczyciel śpiewu, wydaje rok rocznie podczas wielkiego postu koncerta i przedstawienia amatorskie lekkich oper na różne cele humanitarne. W ubiegłym tygodniu odbyło się za staraniem i pod kierownictwem sympatycznego tego artysty przedstawienie połączone z koncertem na dochód szpitalika św. Zofii. Doborowy program ułożony z utworów orkiestralnych, śpiewów solowych i ślicznej operetki „*Le chien du jardinier*“, wykonano pod każdym względem wzorowo. W przedstawieniu odznaczyła się szczególnie panna Beth i p. Myszuga. Licznie zgromadzona publiczność przepędziła wieczór jak najmilej nie szczędząc oklasków dyletantom i szanownemu dyrygentowi. — Słynny kwartet florentyński dawał w niedzielę i wtorek koncerta w sali ratuszowej. Pochwały wszelkie, które moglibyśmy oddać towarzystwu p. Beckera są zbyteczne. Dość powiedzieć, że wszyscy czterej wykonawcy są pierwszorzędnymi wirtuozami, a grając ze sobą od lat kilkunastu doprowadzili egzekwowanie kwartetów do możliwej doskonałości. Słysząc kwartet florentyński zdaje się, że to gra jeden instrument o szesnastu strunach i jednolitość uderzenia, bajeczna precyzja w takcie, a przytem doskonała czystość akordów ustaliły kwartetowi florentyńskiemu sławę w całej Europie. Melomani nasi, którzy za pierwszej bytności kwartetu florentyńskiego u nas tłumnie spieszyli na koncerta, tym razem nie odpowiedzieli oczekiwaniom koncertantów. Na drugim koncercie sala świeciła pustkami. Przyczyną tego były przypadające równocześnie występy Rossiego w „Królu Learze“ i „Ludwiku XI“. Czyż nie leżało w interesie kwartetu wybrać inne dnie na koncerta?

TEATR.

(Konkurs dramatyczny im Al. hr. Fredry. — „Kochać i kochać,“ komedja w 4-aktach. „Zaręczyny Kreczyńskiego“ komedja w 3-aktach Suchawo-Kobylina. — „Nietoperz,“ operetka w 3 aktach, Straussa).

Rezultat tegorocznego konkursu dramatycznego im. Al. hr. Fredry jest bardzo ubożuchny. Z czterdziestu kilku sztuk nadesłanych na konkurs uznano tylko dwie godnemi przedstawienia, a obiedwie są tak mierne, że upadły po pierwszej reprezentacji. O komedji „Na dwóch stołkach“ uczyniliśmy wzmiankę w swoim czasie. Sztuka ta nie posiada żadnych wyższych zalet, jeżeli jednak jest pierwszą próbą autora, zdradza w nim pewien talent, który w przyszłości może się rozwinąć. Szczególnie bezpretensjonalność w wyborze przedmiotu i przeprowadzeniu tematu ująć muszą widza. „Kochać i kochać“ we wszystkiem, począwszy od tytułu wskazuje, że autor ma pretensję do komedji wyższego zakroju i o głębszych psychologicznych motywach. Kochać — a kochać — przedstawić rozwój dwóch miłości, namiętnej, wrzącej, dyktującej sama dla siebie prawa, a z drugiej strony, spokojnej, pogodnej, jak dzień majowy, rozwijającej się naturalnie w zakresie uświęconych praw społecznych: temat to wprawdzie nie nowy, ale jakże wdzięczny dla utalentowanego pisarza, który oparłszy się na znajomości dusz ludzkich potrafi unaocznić nam ten rozwój we wszystkich charakterystycznych fazach i zręcznie rozwiązać najtrudniejszą z życiowych zagadek! Autor konkursowej komedji, ani w małej części nie sprostał swemu zadaniu i na każdym kroku zdradza on nieznajomość serca ludzkiego, nie mówiąc już nic o delikatnych *niuansach*, które są najważniejszą zaletą komedji psychologicznej. Sztuka, że się tak wyrazimy, est jakby „od siekiery,“ bez żadnej staranności, w obrobieniu. Pod względem faktury „Kochać a kochać“ nie może zadowolnić nawet najskromniejszych wymagań. Sytuacje, rażące częstokroć grubą nienaturalnością (np. denuncjowanie się bohatera za pomocą podrzuconego listu) plątają się ze sobą bezładnie, charakterystyka osób blada, fabuła niezajmująca i niejasna, wszystko to składa się na wcale niefortunną całość. Jedyna postać charakterystyczna w komedji, moskiewskiego kapitana jest epizodyczną i może być bez żadnej szkody dla akcji wykreśloną. Rozumie się samo przez się, że sztuka tego rodzaju nie przedstawia dla artystów pola do popisu: jedynie p. Dobrzański który grał rolę kapitana, charakteryzacją i kilkoma efektownymi frazesami zyskał oklaski publiczności.

Niemiłą atmosferą owiewa nas rosyjska komedja p. Suchawo-Kobylina. Jeżeli autor „Zaręczyn Kreczyńskiego“ miał zamiar w swej sztuce przedstawić inteligentną warstwę narodu, w takim razie nawet najniżej stojące ludy nie mają czego zazdrościć społeczeństwu rosyjskiemu. P. Suchyj-Kobylin zna tylko dwie kategorje ludzi: głupców i łotrów, pomiędzy którymi musi policja robić porządek. Kreczyński, bohater sztuki jest typem blagiera bez czci i wiary, jedynym celem jego istnienia — użycie; aby dojść do tego, w środkach nie przebiera: moralność nie istnieje dla niego. Towarzysz jego i factotum Rasplujew taki sam jak on, tylko podlejszego gatunku. Kreczyński ma ogładę, zważa na pozory — Rasplujew to nagie uosobienie podłości i zbrodni. Właściciel dóbr Moromski, z familją reprezentuje drugą kategorję społeczeństwa: prostodusznych głupców. Wszystkie postacie z wyjątkiem córki Moromskiego odmalowane ze skrajnym realizmem krzyczącemi barwami. Pod względem budowy można „Zaręczynom Kreczyńskiego“ wiele zarzucić, wynagradza to jednak zupełnie wyborna, aż do najdrobniejszych szczegółów wykończona charakterystyka osób, zajmująca od początku do końca sztuki widza i utrzymująca go w ciągłem naprężeniu uwagi. Przedstawienie tej komedji było pod każdym względem wzorowe. Rolę Kreczyńskiego odegrał p. Lubicz z talentem i sumiennie. Zarzucićby mu tylko można zanadto dramatyczne traktowanie tej roli, która grana lekko zatarłaby nieco ponury koloryt sztuki. Niepororównanym Resplujewem był pan Zboiński. Werwa i prawda drgały w każdem jego słowie, w każdem spojrzeniu, w każdym ruchu, a w całej skali namiętnych wzruszeń, które przechodzi, nie brakło mu ani tonu. Rasplujew w galerji ról tego niepośledniego artysty zajmuje jedno z miejsc naczelnych. Do harmonijnej całości przedstawienia przyczynił się także pan Zamojski i panna Wisnowska, której talent coraz piękniej się rozwija.

Na benefis pana Zboińskiego przedstawiono ubiegłej soboty po raz pierwszy operetkę Straussa „Nietoperz.“ Libretto przerobione ze starej komedji Kotzebuego nie odznacza się zbyt moralną tendencją ale jest wcale zręczne i dowcipne. Nikt zdaje się nie idzie na przedstawienie operetki, aby się zbudować i zabawić — oto jedyny cel tego rodzaju przedstawień. „Nietoperz“ spełnia swoje zadanie. Muzyka, jak we wszyskich operetkach Straussa, składa się z samych walczyków, lekkich i figlarnych działa tak na nerwy jak haszysz: drażni z lekka zmysły i usypia. Amatorom lekkiej muzyki polecić możemy „Nietoperza“ jako jedną z lepszych operetek.

ERNEST ROSSI.

Nawet najwięksi optymyści przyznają, że sztuka dramatyczna coraz bardziej upada w całej Europie Przyczyną tego upadku jast fałszywy kierunek, któremu hołdują wszystkie teatry, z bardzo nielicznemi wyjątkami. Scena z każdym niemal dniem zatraca charakter przybytku prawdziwej sztuki i zaczyna służyć li do płaskiej zabawy, lub też staje się środkiem propagandy pewnych tendencji. Dobry smak coraz więcej niknie, a zastępuje go żądza nowości. To też jednodniówki sceniczne sypią się jak z rogu obfitości, tandetne wyroby francuskich spółek literackich zalewają umysłowe targowisko Europy i obniżają przez to wartość dzieł prawdziwie wielkich. Dyrekcje teatrów silą się, aby ciągle odświeżać repertoar: rzecz nowa znaczy obecnie tyle, co dobra. Skutkiem tego kierunku jest to, że artyści stają się powoli rzemieślnikami. Brak im czasu do pracy nad sobą, do poważnych studjów i muszą ciągle grać sztuki nowe, tuzinkowe i bez głębszych psychologicznych motywów. Jak je grają, mniejsza. Chodzi głównie o to, aby przyzwoicie *odgadać* rolę. Rzeczywiście żałować trzeba tych talentów, które z każdym dniem się marnują nie mając w obec spaczonego

prądu sztuki doamatycznej odpowiednich warunków rozwoju.

Jeżeli w obecnych czasach pojawi się jaki artysta wielkiego stylu, po większej części ma to do zawdzięczenia, nie tylko talentowi, ale i wyjątkowo szczęśliwemu położeniu, które dało mu taką niezależność, że nie potrzebował marnować swego talentu pracą o chleb powszedni, ale mógł oddać się spokojnie poważnej pracy artystycznej. Rossi, który występami swymi zachwycał i wprawiał w zdumienie lwowską publiczność przez dni kilka, posiadał te szczęśliwe warunki. Od kilkunastu lat nie jest związany on z żadną sceną; niezwykły jego talent, powiedzielibyśmy geniusz, długoletnią pracą w jednym kierunku spotężniał, zolbrzymiał, a dziś śmiało może się on uważać za najznakomitszego reprezentanta Szekspirowskich kreacyj. Rossi występował na naszej scenie w czterech tragedjach Szekspira: „Otellu,“ „Hamlecie,“ „Królu Lirze,“ „Makbecie“ i w tragedji Kazimierza Delavigne „Ludwiku XI.“ Nie przesadzamy bynajmniej, gdy powiemy, że o występach jego możnaby spisać tomy. Tak jak każde dzieło Szekspira, tak i wykonanie jego nastręcza tyle uwag, tyle refleksji, dla grającego i widza, że jest przedmiotem niewyczerpanym tak, jak dusza ludzka. Komentarze tragedji Szekspirowskich tworzą olbrzymią bibljotekę, a mimo to rok rocznie pojawiają się nowe dzieła, traktujące rzecz z oryginalnego stanowiska; tak samo mnożą się studja o Rossim jako wykonawcy dzieł Szekspira.

Brak miejsca nie pozwala nam szczegółowo zastanawiać się nad grą znakomitego tragika we wszystkich rolach, w których występował, zdaje nam się jednak, że spełnimy dostatecznie nasz obowiązek wobec czytelników, podając ogólną charakterystykę artysty i gry jego. Naprzód, co do strony zewnętrznej, na którą nie wiem dlaczego nasi recenzenci tak mało zwracają uwagi, chociaż w sztuce dramatycznej, która poczęści jest plastyczną, rzecz to nie poślednia. P. Rossi posiada wszystkie warunki na bohatera w tragedji. Wzrost ma wspaniały, odpowiednią tuszę, rysy twarzy piękne i wyraziste, oko niezbyt wielkie, ale pełne życia i myśli, kształty okrągłe i proporcjonalne. Głos jego dźwięczny i giętki posiada obszerną barytonową skalę. Pod względem poz i ruchów trudno sobie coś doskonalszego wyobrazić, pozy jego są prawdziwie klasyczne, pełne gracji i majestatu, jakby wykute przez najlepszego rzeźbiarza, ruchy wyraziste, okrągłe i tak naturalne, że przemawiają jak słowa. Do tej doskonałości poz i ruchów nie mało przyczynia się ta okoliczność że Rossi umie się prześlicznie ubierać i posiada bardzo trudną tajemnicę noszenia kostjumu. Jest to rzecz nie małej wagi. Silne i wyrobione mięśnie twarzowe dozwalają mu uwydatnić grą fizjognomji najdelikatniejsze odcienia pracy psychicznej, która równocześnie odzwierciedla się w oku posiadającem całą skalę świateł i błysków. Znakomite te warunki zewnętrzne, które już same przez się mogą zapewnić powodzenie, potęguje jeszcze artysta zaletami wewnętrznemi.

Ernest Rossi jest nietylko wykonawcą dzieł Szekspira: on jest czemś więcej, on grą swoją komentuje Szekspira, on go dopełnia za pomocą wszystkich środków scenicznych, którymi nowoczesna dramaturgja rozporządza, a o których Szekspir nie wiedział. Główną cechą gry jego jest oryginalne pojecie ról przedstawianych. Rossi jest wybitnym reprezentantem realizmu w sztuce. Jego bohaterowie to ludzie z krwi i kości, ze wszystkimi zaletami i wadami człowieczeństwa: jeśli są wielkiemi to nie przez kotnon i grecką maskę, z pod której wydobywają nieludzkie głosy, ale przez potęgę swego charakteru, przez miłość i boleść. Otello to nawpół dziki murzyn, dla którego religią i kodeksem honoru i moralności jest tylko namiętna, boska przez ową zwierzęcość miłość ku Desdemonie, Lear, to uosobienie słabości charakteru i obrażonej w najświętszych uczuciach ludzkości, Makbeth to skończony typ człowieka żądnego władzy, a słabego, za pierwszem pośliznięciem się staczającego się w przepaść zbrodni i zguby, Hamlet to protoplasta wszystkich genjuszów o potędze myśli, a słabej woli, nie umiejących żyć, choć lepiej od innych życie pojmują, istot nieszczęśliwych noszących w piersi zarody wielkości i śmierci zarazem. Realizm Rossiego nie jest jednak skrajnym: zanadto dobrym jest on artystą, aby przekroczył tę nieokreśloną granicę, która dzieli realizm od trywialności. Ta miara artystyczna, to połączenie warunków sztuki z prawdą, to według nas największe zalety Rossiego. Zapaleni zwolennicy ultra-idealnego kierunku w sztuce nie zgodzą się na niektóre zapatrywania Rossiego, nikt jednak nie może mu odmówić konsekwencji w przeprowadzeniu charakteru tak jak go pojął.

Otoczenie Rossiego jest wielce przyzwoite. Między towarzyszącymi mu aktorami nie ma wprawdzie osobistości bardzo wybitnych, wszyscy jednak grają z zrozumieniem rzeczy, gładko tworzą wyborny sztafaż, na którym pięknie odbija się kolosalna postać mistrza.

Przyjęcie Rossiego przez lwowską publiczność było bardzo sympatyczne, a potężne kreacje wielkiego tragika pozostaną na zawsze w niezatartej pamięci wszystkich znawców i miłośników sztuki.

B. Cz.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literatura, sztuka i nauka.

⁂ Zeszyt kwietniowy *Ateneum* zawiera: Przed Grunwaldem, przez dr. Antoniego Prochaskę. Ludy pierwotne południowej Afryki przez dr. A. Rehmana. Krzyż nad otchłanią, studjum kobiece przez Deotymę. Zastosowania psychologji, przez dr. Juljana Ochorowicza. Drobna szlachta w Królestwie, studjum społeczne, napisał Władysław Smoleński. O gwiazdach stałych, przez Angelo Secchiego, podał Karol Hertz. Towarzystwo nauk ścisłych w Paryżu w r. 1878, przez Marjana A. Baranieckiego. Rozbiory i sprawozdania: 1) Artur Grottger, szkic biograficzny Klemensa Kanteckiego, przez P. Ch. 2) Gajusz Lucyljusz, satyryk rzymski, przez Kazimierza Morawskiego, przez P. Ch. 3) Język łaciński w organizmie publicznego wychowania prez M. Świtalskiego, przez P. Ch. 4) Erazm Ciołek, biskup Płocki przez Stanisława Lukeja przez Teodora Wierzbowskiego. 5) Przewodnik opisowo porównawczy do wyuczenia czytania i pisania po polsku przez M. J. Konstantynowicza, ocenił Konrad Prószyński. 6) Materjalizm współczesny przez prof. Pawła Janeta, przez Jana Karłowicza. Kronika naukowa przez B. Abakanowicza. Kronika miesięczna.

⁂ *Dwutygodnika naukowego* zeszyt 6 zawiera: Teorja wpływów kultury fenickiej. Historja i system at języków semickich Renana wobec najnowszych odkryć w piśmie klinowem. J. Radlińskiego. Posiedzenie akademji i towarzystw naukowych. Wiadomości.

⁂ *Teorja hydroterapji* i zastosowanie jej zasad do leczenia dżumy, tyfusu, difteritis i cholery, jako też środek na solitera. Napisał P. Kasprzycki. Wyszło we Lwowie, nakładem autora.

⁂ *Dziejów polskich* R. Reppla wyszedł z druku zeszyt 7. (Biblioteki historycznej zeszyt 155).

⁂ Dowiadujemy się iż w Przemyślu zamierzają wydawać tanią bibliotekę na wzór niemieckiej Reclama. Nie dawno doniosliśmy iż Redakcja Przeglądu Tygodniowego w Warszawie zamierza podobne wydawnictwo. Ponieważ zaś istnieje u nas już takie wydawnictwo p. n. Bibljoteki Mrówki, więc będziemy mieli trzy podobne wydawnictwa. Niemcy, którzy na setki tysięcy liczą kupujących książki mają tylko jednego Reclama, Francuzi tylko jedną Bibljoteque National — widocznie więc u nas jest więcej czytelników, kiedy potrzeba robić aż potrójne edycje. Może panowie przedsiębiorcy nie wiedzą, że wydawanie tanich książek najdrożej kosztuje i tylko przy bardzo wielkim pokupie może się opłacać. Że takiego pokupu u nas nie ma świadczy Bibljoteka Mrówki, która się drukuje w 2000 egzemplarzach, dla rozsprzedania których potrzebuje 10 lat czasu, a nawet i po latach 10 nie każdej książeczki 2000 egzemplarzy się rozchodzi, jak o tem świadczą nie rozprzedane dotąd tomiki tej bibljoteki wydane w r. 1869.

Nie tanich książek nam brak ale czytelników, kupujących książki, tych by należało poszukać.

⁂ Ze śmiercią p. H. Stupnickiego, który założył i przez 28 lat z różnem szczęściem wydawał *Przyjaciela domowego* we Lwowie, pismo to przeszło na własność p. Franciszka Dülla a redakcję objął p. Fr. K. Martynowski. Na zmianie redakcji *Przyjaciel domowy* wiele zyskał, kierownictwo jest umiejętne i dobór artykułów staranny. W br. *Przyjaciel domowy* zamieścił ładny obrazek autora „Kłopotów starego komendanta“: *Sędzia w spodnicy*,—*Dwernicki* fraszka ułańska w dwóch aktach. *My i Żydzi* rozprawa pana F. K. Martynowskiego. Kronika, korespondencja, wiadomości z dziedziny nauk przyrodniczych ożywiają pismo. Wiadomości gospodarskie stanowią ważną rubrykę pisma. Przyjaciel domowy jest najtańszem pismem u nas, całoroczna prenumerata wynosi tylko 2.20

⁂ *Sztandar* i *Strażnica*, pisemka w zamian się uzupełniające przeszły z dniem 1. kwietnia pod redakcję p. Romana Nowogrodzkiego.

⁂ W Płocku, w ogrodzie p. Holtza, znaleziono cmentarzysko przedchrześcijańskie.

⁂ Dr. Krasiński napisał „Przyczynek do nosogenji cholery i dżumy.“

⁂ W Warszawskiem Muzeum Technicznem pana Berdau miał trzy odczyty: „Ogólne zasady życia roślin a w szczególności ich żywienia się.“

⁂ Alfons Daudet pracuje nad nowym romansem z tytułem „Les rois en exil.“

⁂ Do Francji wprowadzono w roku 1878 książek, rycin, litografij i t. d. za 5,073,000 fr., — wywóz zaś tychże przedmiotów wynosił 22,779.000 fr.

⁂ Na posiedzeniu wydz. filozoficz.-historycz. Ak. K. N. (13. marca) pan Dr. Heyzman czytał „O ustawodawstwie kościelnem o azylach.“

⁂ Tow. Krakow. Lekarskie odbyło 19. marca posiedzenie, na którem p. Dr. Zarewicz czytał „O wyróżnianiu wrzodów najczęściej się trafiających,“ a pan Dr. Buszek „O najnowszych spostrzeżeniach dotyczących wpływu wody na zdrowie, oraz o chorobach powstających w skutek używania nieczystej wody.“

⁂ W Krakowie na dochód Tow. Wzajemnej Pomocy Studentów Uniw. Jagielloń. odbędzie się szereg prelekcyj, w którym przyjmą udział: Dr. A. Asnyk, Julian Grabowski, Lutostański, Dr. Straszewski, Dr. Tarnowski; ten ostatni rozpocznie „O dramacie Słowackiego Horsztyńscy.“

⁂ Hr. Branicki, nabywszy bibljotekę historyczną po Wyzińskim, darował ją Zakładowi Ossolińskich we Lwowie.

⁂ Gabinet archeologiczny krakowski otrzymał od pana Koziebrodzkiego okazy zabytków krzemiennych szwajcarskich i francuskich.

⁂ Rektor krakowskich Pijarów ks. Adam Słotwiński ogłasza konkurs na życiorys Stanisława Konarskiego, nagroda 50 złr.

Na posiedzeniu Wydz. Matematyczno Fizycznego przedstawiono prace dra Zygmunta Wróblewskiego „O zależności ilości stałej rozchodzenia się gazów w cieczach od lepkości tych ostatnich“; Dr. Altha „Wapień Nižniowski i jego wykopaliny“; Dr. Henryk Kady wyłożył „O dodatkowych gruczołach tarczykowatych w okolicy gnykowej.“

⁂ Dr. Straszewski w szeregu prelekcyj miał pierwszy odczyt: „O wpływie filozofji XVIII w. na towarzystwo francuzkie przed rewolucją.“

⁂ W Resursie krakow. p. Kazimierz Bartoszewicz miał odczyt „Pani Podkomorzyna — przyczynek do domowego życia Warszawy z czasów pruskich.

⁂ Na posiedzeniu oddziału sztuki 18. marca Paweł Popiel odczytał „O ruchu artystycznym na dworze Zygmunta I.“

⁂ Ks. Polkowski miał w Krakowie odczyt „Anioł stróż Korony Polskiej, opowiadanie historyczne z 1470 roku.“

⁂ Pierwszy tom „Historji niemieckiej w XIX wieku,“ Henryka v. Treitschke, wkrótce wyjdzie na widok publiczny. Całe dzieło będzie się składało z pięciu tomów. Ostatni tom kończyć się będzie na roku 1866.

⁂ Wkrótce ukaże się praca Wilhelma Marxa „Der Sieg des Judenthums über das Germanenthum“, traktująca kwestję żydowską ze stanowiska cywilizacyjno-historycznego.

⁂ Nakładem V. Dunsky'ego, w Lipsku, wychodzi w ozdobnem wydaniu „Dekameron“ Boccaccia, w niemieckim przekładzie, staraniem C. G. Hildebrandsa, z ilustracjami Ferdynanda Wagnera; pierwszy zeszyt opuścił już prasę.

⁂ Pierwsze wydanie niedawno ogłoszonego dzieła prof. Maksa Müllera „Lectures on the Origin and Growth of Religion, as illustrated by the Reli-

gions of India," już jest wyczerpane; drugie wydanie wyjdzie wkrótce u Williamsa nad Norgate w Londynie.

Nekrologja.

*** Edward Kotlubaj, inżynier, pisarz historyczny, autor: „Życie polityczne Janusza Radziwiłła" i „Galerja portretów Radziwiłłowskich w Nieświeżu"; pozostały po nim rękopisa, a między tymi „Historja wojenna Polski." † dnia 26. lutego w Petersburgu.—

*** Gołębiowski Ludwik, inżynier, zamiłowany zbieracz archeolog, zostawił obszerny zbiór ceramiczny. † w Warszawie w marcu.

*** Kuhne Antoni, muzyk i dyrektor orkiestry, † w Warszawie 14. b. m.

*** Saint-René Taillandier, członek Akademji, prof. literatury i filozofji, autor wielu dzieł, † d. 26 lutego.

*** Sonnenschein Dr. prof. Berlińskiego Uniw., chemik, powaga w kwestjach chemji sądowej, autor „Handbuch d. gerichtlichen Chemie."

ROZMAITOŚCI.

*** Sportsmen. Zmarły w tych dniach książę Newcastle był zapalonym koni lubownikiem.

Mówią, iż raz postawił miljon franków za klaczą, zupełnie mu nieznaną.

W biegu *par force* klacz ta łamie nogę.

— O! zwierzę to za drogo mnie kosztuje — rzekł Newcastle do właściciela klaczy — abym nie miał dlań największych względów.

I nabył klacz.

Osobny służący pielęgnował chromą biedaczkę aż do samej śmierci, a przyznać trzeba, iż zwierzę to żyło długo na łaskawym chlebie...

Innym razem Newcastle spotkał głośnego w Londynie handlarza koni.

— Jacobs—rzekł książę—czy masz na zbyciu jakiego pięknego wierzchowca?

— Mam, mości książę, klacz wartującą 20,000 franków.

— Dwadzieścia tysięcy franków?.. ależ przed dwoma dniami przedawałeś ją lordowi Edwards za 10,000 franków.

— Lord Edwards jest lordem, podczas gdy wasza ekscelencja jest Newcastle — podchwycił czelny handlarz.

Książę, któremu podobała się ta odpowiedź, zapłacił natychmiast dwadzieścia tysięcy.

W końcu swego życia książę, zupełnie zrujnowany żył z pensji wyznaczonej mu przez żonę, córkę bankiera Hope.

*** Zemsta. W małem miasteczku włoskiem wydarzył się niedawno groźny wypadek, w chwili gdy pogromca zwierząt zamierzał wejść do jednej z klatek.

Lampart, niezwykle w tym dniu niespokojny, miotał się w klatce: nagle, dwa pręty żelazne odpadają i rozwścieczone zwierzę rzuca się między publiczność znajdującą się na parterze.

Powstaje popłoch trudny do opisania..

Kto żył usiłuje wydostać się z menażerji na ulicę: jedni drugich popychają, zdążając ku jednemu wyjściu

Lampart, któremu nikt na razie nie stawia przeszkód, rzuca się za uciekającymi, wywierając swą wściekłość na najbliższych.

Kobieta i dziecię zabite zostały na miejscu, a cztery inne osoby ciężko pokaleczone.

Pogromca i jego pomocnicy, uzbrojeni dzidami, porwali się za zbiegłem zwierzęciem, lecz nie zdołali go rychło powstrzymać, ani też przeszkodzić smutnym wypadkom.

Padło ono pod ciosami.

Z przeprowadzonego śledztwa okazało się, iż służący oddalony za pijaństwo nadpiłował pręty.

*** Wzrost człowieka. Kwestja wzrostu człowieka jest jedną z najwięcej obudzających ciekawość antropologów.

Znajdują się liczne prace statystyczne odnoszące się do zmiennej wysokości wzrostu ludzkiego, i, jak to zwykle bywa, autorowie tych prac różnią się w swoich wnioskach.

Według zbiorowej pracy pomieszczonej w *Revue d'antropologie*, najwyższy człowiek dotąd obserwowany był Finlandczykiem.

Wysokość jego wynosiła 2 m. 83, najniższy zaś karzeł nie przechodził 43 centymetrów wysokości.

Między temi dwoma końcowościami napotykamy liczne różnice wzrostu, na które klimat, zwyczaje i obyczaje przeważny wpływ wywierają i średniej wysokości ludzi stanowią.

Patagończycy stanowią ludność, której jednostki dochodzą do 1 m. 78 średniej wysokości.

Średnia ta jest najznaczniejszą ze znanych dotąd wysokości ludzi.

Buszmanie, mieszkańcy Afryki południowej, są przeciwnie najmniejszymi ludźmi.

Ich wzrost średni nie przechodzi 1 m. 35; średnia zatem przeciętna tych dwóch krańcowości byłaby 1 m. 60.

Revue d'anthropologie uważa jednak za właściwe, aby wyniki dotąd ogłoszonych wykazów podnieść nieco i proponuje ustanowić średnią wysokość 1 m. 65 c., tj. cyfrę tę przyjąć jako punkt środkowy, od którego mają się rozchodzić podziały odnoszące się do wzrostu.

Tak więc każdy może wiedzieć, czy jego wzrost przechodzi lub niedochodzi średniej wysokości; dodajemy jednak, że te spostrzeżenia odnoszą się tylko do mężczyzn.

Statystyka dotąd nie zajmowała się średnią wysokością kobiet.

*** Ulica miljonerów. Nigdzie może na ziemi wiele bogactwo nie jest tak skupione na małej stosunkowo przestrzeni, jak na jednej z ulic, tak zwanej „Piątej", w Nowym Yorku.

Jest to prawdziwa ulica Krezusów.

W liczbie mieszkańców jej znajduje się 16 takich, którzy posiadają razem 249 miljonów dolarów majątku.

Mianowicie:

Dr. Rhinelaender ma majątku 3 miljony.
M. O. Roberts 5,
Mojżesz Taylor 5,
August Belmont 8,
Robert & A Stuart 5,
pani Stevens 2,
Amos E. Reno 5,
Jakób i Wiljam Astor po 60 miljonów majątku,
pani A. T. Stewart 60.
P. Lorillard 3,
Kernochan 2,
Vanderbild 75,
Calvert Jones 2,
James Gordon Bennett 4,
Fred Stevens 10,a
Lewis Lorillard miljon majątku.
Niech się schowają... Nelewki!

*** Czteroletni mason. Żółta febra, w roku ubiegłym srożąca się w Ameryce południowej, liczne zabrała ofiary i w Nowym Orleanie.

Między innemi ciężko dotknęła rodzinę Wilson.

Z siedmiu bowiem osób, składających tę familję, w ciągu tygodnia zmarło sześć.

Pozostał sam jeden czteroletni chłopczyk.

Mały Walter z krewnych najbliższych miał tylko wuja, zamieszkałego w San-Francisco, który, dowiedziawszy się o nieszczęściu, postanowił chłopca wziąć do siebie.

Ponieważ ojciec Waltera był wolno-mularzem, loża zajęła się jego wysłaniem do San-Francisco.

Wyprawiający chłopczynę w drogę umieścili mu na szyi napis wskazujący cel podróży i powierzyli go opiece konduktora.

W ten sposób, oddawany kolejno coraz innemu konduktorowi, kilkoletni zaledwie pasażer jechał z południa na północ, a następnie na zachód, i przybył zdrowo do San-Francisco.

Na stacjach główniejszych oczekiwali malca delegaci lóż masońskich, zaopatrując go w środki na dalszą podróż.

Przebył on 3,000 mil z okładem.

*** Reporter w starożytności. Dawne to już czasy, kiedy powstało dziennikarstwo, z którego grona wyrośli reporterzy, korespondenci.

Starożytni Ateńczykowie, ciekawi nowin z wewnątrz państwa albo obczyzny, mieli zwyczaj zgromadzać się grupami na Agorze, idąc od sklepu do sklepu i zapytując przechodniów: „Co nowego?"

Już w tych grupach widzimy reporterów albo zbieraczy nowin, którzy, poinformowawszy się wprzód sami, przychodzili innym udzielać nowin, dotyczących wojny, floty, planów jenerałów, przypuszczalnych powodzeń lub klęsk.

W braku wiadomości, umieli oni tak samo jak nasi koledzy strzelać bąki!

W Rzymie, zbierający nowiny gromadzili się w Forum, koło trybun, zapisując je skrzętnie na tabliczkach i powtarzając dostojnikom.

Wtedy to powstał dziennik.

Przemyślni postanowili gromadzić i kopjować interesujące wiadomości, jak śluby, śmierci, zbrodnie, pogłoski wszelkiego rodzaju i sprzedawać je pod nazwą *acta diurna*.

Niewiasty przy robieniu toalety, mężczyźni w łaźniach, kazali sobie czytać *acta diurna*, tak jak obecnie dziennik poranny lub wieczorny.

Korespondenci istnieli w epoce Cezara, lecz nie do usług przemysłowców, tylko dygnitarzy politycznych.

Tak Cycero, odjeżdżając do Cylicji, zobowiązał Celiusa Rufusa do informowania go o wszystkiem co się działo w Rzymie, zarówno pod względem politycznym jak i codziennego życia.

Z drugiej strony, korespondenci, ustanowieni na prowincji, nadsyłali do Rzymu bogatym obywatelom listy, z których wydawcy *acta diurna* często korzystali.

*** Sen i rzeczywistość!

Pewien budzi się wśród nocy i bez tchu prawie bieży do swego przyjaciela.

— Wyobraź sobie, miałem sen straszliwy. Śniło mi się że jesteś zrujnowany. Z przerażenia budzę się i pod wrażeniem snu rzucam się do mego biurka dla wydobycia pieniędzy i ofiarowania ci wszystkiego.

— Ach! jakżeś ty dobry — odpowiada wzruszony przyjaciel.

— Ale — ciągnie dalej snem nawiedzony—w biurku nie znalazłem ani grosza; czy nie mógłbyś może dać mi sto guldenków?...

*** *Król z Birma* Podług doniesień z Indyj, osobliwą zabawkę wynalazł sobie król z Birma, dostawszy w posiadanie jedną armatę Kruppa. W swej obecności kazał puszczać strzały w rzekę Irrawady. Kilka strzałów było dobrze wymierzonych, dlatego oponowało wielkie zadowolenie „Pana siedmiu dyszczochronów," (tak się mianuje Król.) Jeden strzał uderzył w czółno napełnione ryżem, które wraz z kierownikiem zaraz utonęło. Król był nie skończenie uradowany; bo sam armatę wymierzył. Potem przedsięwzięto do dalszej mety puszczać strzały. Na przeciwległej stronie rzeki Irrawady, obrano wieś Mandalej za cel pocisków. Cała wieś była w ruchu, dla obserwowania rezultatów. Po kilku nieskutecznych wystrzałach, spostrzeżono, że cała wieś była w płomieniach. Mieszkańcy tejże osady, biegali na wszystkie strony, jak opętani, a król od śmiechu trzymał się za boki! — Nareszcie przyszła inna myśl królowi do głowy, aby widzom na przedmieściu miasta się przypatrującym, po łać kilka strzałów kartaczami. Celnie wymierzony strzał w okamgnieniu rozbił na wszystkie strony ludzi i tylko pozostało 20 mężów, niewiast i dzieci zabitych na placu. Panujący nadzwyczaj był z tego wypadku zadowolony. Armata zupełnie odpowiedziała oczekiwanemu zadaniu. Po użyciu bomb, granatów i kartaczy, przekonał się król należycie, że zrównał się w sztuce wojennej Europejczykom.

Treść Nr. 11.

Z drukarni Dziennika Polskiego. Wydawca i odpowiedzialny Redaktor Mikołaj Biernacki.